



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### Wrażenie z nocy letniej.

Cicho, cicho—noc idzie—pewnie będą znów czary!  
Rozstąpiły się niebios lazurowe kotary,  
I wśród lampek niebieskich złocistego wianuszka,  
Najpiękniejsza na świecie ukazała się wróżka,  
Z gwiazdką złotą na czole, z rozmarzeniem na licu  
Drobną stopką stała na dwórożnym księżycu,  
I zgarnawszy muśliny srebrnej szaty, ku ziemi  
Już mknie łodzią powietrzną, muślinami srebrnymi,  
Szereg krzewów nadbrzeżnych już otacza misternie—  
Wtem przejrzała się sama w kryształowej cysternie!  
— Jakżem piękna!—i uśmiech uciekł perłom i róży,  
I z uśmiechem tym w fali długie pukle zanurzy,  
I z uśmiechem tym idzie pośród kwiaty i strąca  
Kropki z włosów, a w każdej mały promyk miesiąca,  
Jak w malutkim pałacu kryształowym zaklęty—  
I tak kwiaty upina w rosę, niby w djamenty.  
— Spijcie, kwiaty!—i do snu listek każdy kołysze,  
Snują ciszę i cały świat zasnuwa w tę ciszę,  
Płynie gajem i lasem, z nią pieśń ciszy, i śpiewa  
— Spijcie drzewa!—i wszystkie zapadają w sen drzewa.  
Idzie łąką i polem, gdzie falują zbóż morza:  
— Spijcie, zboża!—i senne pochylają się zboża...  
Spokój wkoło, sen, cisza—tylko strumień w kolebce  
Granitowej wieczorny jeszcze pacierz swój szeptem...

W tem ktoś woła: wróć Wieszczo! już skończona twa praca.  
Wraca wieszczka, lecz czemu taka smutna powraca?

Tam w lazurów gwiazd ku niej uśmiechają się krocie,  
A w jej oczach łzy duże, tonie serce w tęsknocie,  
Fala męki tajemnej białe wznosi się łono,  
Jakby miało wybuchnąć jakąś skargą szaloną!  
Czy wytrzyma pierś biała pod cierpienia brzemieniem?  
Ach—nie—smutek się rozlał cichej skargi strumieniem!

„Ziemio, ziemio! o jakież przeznaczenie okrutne,  
Że wśród róż twych i lilij są cyprysy tak smutne,  
Których każda gałązka takim bólem nabrzmiała,  
Żem ich rosy kropelką nawet trącić nieśmiała!  
Ziemio, poco mi one powiadają niedole.  
Że mi błednie od żalu złota gwiazdka na czole,  
Że tu nieraz łzy, wszystkie moje oczy wypłaczą,  
Jakbym sama się nagle stała jedną rozpaczą!  
Ziemio, ziemio, o jakże ty mi jesteś niewdzięczną!  
Zato, że ci sen niosę cichą nocą miesięczną,  
Że najmniejszy twój kwiatek z taką tulę pieśczęcią,  
Ty mi serce zabijasz, karmisz duszę zgrzyotą!  
Potom tobie róż tyle, białych lilij zasiała,  
Byś tych kwiatów barwami moim oczom kłamała!  
Żegnaj ziemio—w mem sercu taka wielka tęsknica,  
Więc popłyne, powrócę do srebrnego księżycza  
Do gwiazd, które w błękitie złotą switą są moja,  
Niech żal ujma, niech duszę, niechaj serce ukoją!..  
Żegnaj, żegnaj! za chwilę już z różowych firanek  
Wyjdzie ciernie twe budzić złotowłosy poranek...

Mieczysław Gliński.

# BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

## II.

Na peronie przed stacją P. ruch gorączkowy. Tylko co nadszedł pociąg i za parę minut ma odejść dalej, więc tłum wsiadających mieszka się i wikła z wsiadającymi, którzy śpieszą zając miejsce w pociągu. Z wagonu klasy II wyskoczył Władysław i mając przy sobie tylko pakunek ręczny, zaczął przeciskać się pośpiesznie wśród tłumu ku sali. Znajomy służący uklonił mu się przy wejściu.

— Nie wiesz, czekają tu konie na mnie? — zapytał.

— Tak, proszę pana, widziałem pańskiego człowieka.

Władysław oddał posługującemu kwit narzezczy, a sam przeszedł na tylną stronę stacji, na dziedziniec, zajęty w tej chwili przez dorożki i liczne furmanki. Zdaleka już dojrzał pośród nich parę roślących szpaków, założonych do złotego „szarabanu.“

— Wasyl! — zawołał z ganku

Siedzący na szarabanie człowiek ocknął się, zaciął konie i podjechał przed ganek.

— Jak się masz, — zapytał Władysław — czy w domu wszyscy zdrowi?

— Dziękuję paniczowi — odparł, zdejmując wysoką lakierowaną czapkę — „sława Bohu“ zdrowi. Czekają panicza.

— Zaraz ci tu zniosą moje rzeczy.

Wrócił do sali, odszukał służącego i kazał mu odnieść walizę na bryczkę. Stojąc przy bufecie, wypił na prędce szklankę herbaty, zakąsił „buterbrodem“ — i w parę minut już siedział na złotym szarabanie, który po wyboistej drodze miasteczka podskakiwał nieustannie. Władysław witał z uśmiechem znajome domki żydowskie, malowane na zielono i żółto, chłopów w kapeluszach słomianych i z fajkami w zębach, ciągnących na drabiniastych wozach. Wszystkie to było nader charakterystyczne, odrębne i swojskie.

Pragnął już jednak wydostać się na szerokie pole; odebrał Wasylowi lejce i zaczął sam powozić. Wyjechali za miasteczko i otoczyły ich łany pszenicy i żyta, dojrzewające już, bursztynowe. Odrazu zaleciał ich szeroki i rzeźwy oddech pól. Do domu było jeszcze dobrych osiem mil podolskich. Jechali szerokim gościńcem, ciągle wśród łanów bujnego zboża, krajem różnym i widnym, nie monotonnym wcale, rozweselonym tu i owdzie jasną taflą stawów, oraz kępami dębowych i brzoźowych lasków. Ranek wszystko to odświeżył i wyzłocił i tylko na dalszym planie na widnokreśgu lasy były owinięte mgłą srebrno-błękitną.

— Jaki to jednak kraj cudny! — pomyślał Władysław, wodząc spojrzeniem po rozległej okolicy, i na myśl, że ma przed sobą strony rodzinne i dłuższy wśród nich pobyt, serce znów mu zadrażało mocniej. Później zaczął wypytywać Wasyla:

— Jakiż u nas urodzają?

— A niczego „sława Bohu“ paniczu... tylko pszenicę „manatkę“, co to za sadem „duże“ włożyło, ale może jeszcze się podniesie — i na „bobik“ muszka siadła „taj“ czysto ogryzła, ale tam jego niedużo było.

Rozmowa przeszła na konie. Wasyl był do pogadanki chętny, więc wkrótce Władysław się dowiedział, że gniada kłacz ma już dwumiesięczne, całkiem do niej podobne loszę, że bułanka, który był dotąd wierzchowcem Władysława, sprzedano, a pan kupił pod wierzch młodego

deresza — i wiele innych ciekawych zmian i nowin w stajni i oborach.

Z południa krajobraz zaczął się zwolna zmieniać. Powierzchnia gruntu — dotąd niska i równa — poczęła się nieco podnosić w niewysokie wzgórza „Tontrami“ zwane, a na widnokreśgu ukazały się miodobory, ciągnące się łańcuchem i okryte kędzierzawymi lasami. Wreszcie z po za jednego wzgórza zabielały chatki malowniczo rozrzucone na pochyłości wioski. Władysławowi zadrażało żywiej serce.

— Jedź drogą po pod sad — rzekł, oddając lejce Wasylowi.

Pilno mu już było dotknąć stopami ziemi. Wyskoczył z bryczki i bliższą ścieżyną — przez pola — puścił się ku widniejącemu o wiorstę sadowi. Na łące buchnęła nań woń ziół, pomieszana z wilgocią; wciągnął z rozkoszą płucami ten zapach, który mu odrazu przypomniał spędzone tu lata i wakacje, przeskoczył strumyk, wyminał zarośla i począł szybko wchodzić po pochyłości, obok łanu pszenicy, której wyłożone miejscami kłosy były powodem żalu Wasyla. Śród kłosów wyglądały bławatki. Przypomniał sobie, że siostra lubi te kwiaty, nie zatrzymując się, uzbierała po drodze niewielki ich pęczek i coraz przyśpieszał kroku. Myśl, że za chwilę powita rodzinę, oraz pośpieszny ruch na górę uczyniły, że serce mu biło w piersi jak młotem. Zatrzymał się chwilę odetchnąć, spojrzął ze wzgórza na rozciągający się u jego stóp krajobraz więkski, na wielki obszar pól zbożowych, na bielejącą w dole wioskę. potem przeskoczył niski parkan i ujrzał się w zarośniętej alei starego sadu.

— Władek!... — usłyszał dzwiczny, radosny głos po za sobą.

Z ukrytej w cieniu grabu ławeczki zerwał się młode, różane zdrowiem i radością dziewczę i z krzykiem wpadło w jego ramiona.

— Andzia!... jak się masz, Andziewczko?

Całował ją i tulił do piersi. Kochał ją prawdziwie i była dlań zawsze najmilszą, najukochańszą siostrzyczką. Potem odsunął ją nieco od siebie i przypatrywał się, udając wielkie zdziwienie.

— Ależ urosła!... To już nie moja Andziewczka, mała siostrzyczka, którą pożegnał przed rokiem, lecz już dorosła panna Aneta, — białej sukni tylko z ogonem i welonu — i choćby zaraz przed ołtarz!...

A jej pochlebny widać słowa brata, bo rozpromieniła się jej twarzyczka jeszcze żywszym uśmiechem i zawołała napół figlarnie:

— A widzisz!...

I okręciwszy się na miejscu, ujęła brata pod rękę i tuliąc się do jego piersi, powiodła aleją ku domowi.

— A ty, niedobry! — szczebiotała dalej — całe dwa miesiące ani słówka nie napisała! Byliśmy tu już wszyscy o ciebie ogromnie niespokojni — i ojciec — i mama, a ja to już byłam tak zagniewana na ciebie, że postanowiłam przez cały pierwszy dzień nie pokazywać się tobie wcale — i gdybyś był mnie tak nie zszedł... No, ale dobrze, że przyjechałaś w końcu! — ty niegodziwy jakis!..

I pochylając jasną główkę na jego pierś, tak, że zwichrzone nieco włosy rozsypały się teraz bujną falą po jej ramieniu, spojrzęła mu w oczy spleśniać umyślnie, jak dziecko:

— Powłócił — blaciszek, powłócił!...

Na werendzie, ocienionej powojem i winem, ukazała się pani Orzelska, którą doszedł szczebiot wesoly Anusi, i ujrawszy, jak drogiego i oczekiwanego przybysza prowadzi córka, spiesznie poczęła schodzić ze schodów.

Uprzedził ją Władysław i był za chwilę w objęciach matki.

— Drogi mój Władek!...

Objęła głowę jego rękoma i mocno przycisnęła do piersi. Ciche, gorące lzy matczyne spadły na czoło młodzieńca, który z uczuciem i rozrzwieniem całował jej rękę.

— Pokaż że się!... Niechże się napatrzę!...

Podniosła w rękę jego głowę i wzrokiem macierzyńsko-troskliwym spojrzęła na rozjaśnioną radością, lecz dość bladą i szczupłą twarz syna.

— Wymizerniałeś nam i wychudłeś, bieda-

ku — rzekła z westchnieniem — musiałeś zamęczać się pracą przed egzaminami i niedosypiać nieraz nocami. Czy przynajmniej nie czujesz się chorym?

I zaczęła znów z wielką troskliwością i niepokojem patrzeć w twarz syna.

— Ależ nie! nie! niech się kochana mama uspokoi. Jestem tylko trochę zmęczony i niewyczasowany podróżą, ale zdrów zupełnie. Za parę dni wypocznę w domu doskonale.

— No, to chwałaż Bogu, żeś zdrów przynajmniej.

I przycisnęła go znów do piersi. Słyszał, jak bije gwałtownie to biedne, macierzyńskie serce, które tyle się tajemnie natroskało o oddalonym, a teraz ma go przy sobie i może uspokoić się i uciszyć.

— Gdzie ojciec?

Wyszedł niedawno w pole i miał nadzieję właśnie ciebie spotkać.

— Szedłem pieszo ścieżką przez łąkę, a konie odesłałem drogą, pewnie ojciec spotkał Wasyla i podjedzie.

— Ale ty musisz być bardzo głodny, Władku? — zapytała pani Orzelska — czy oddał ci Wasyl pakunek z prowizją?

— Nie chciało mi się jeść w drodze i nie pytałem go, czy ma co dla mnie, ale teraz mam apetyt wilczy i zjadłbym całego wołu, a co najmniej kurczaka; uczynię wielkie spustoszenie w spiżarni matce — dodał śmiejąc się.

— Zaraz każę podawać podwieczorek.

Tymczasem nadszedł pan Orzelski, który w istocie spotkał był Wasyla i wiedział już o przybyciu Władysława. Otworzył szeroko ramiona i serdecznie uściśnął syna.

— No, jakże się masz, chłopcze? — zapytał. — Zdrówes?

— Zdrowym — ojcze.

— Dyplom masz?

— Mam.

— No, to chwała Bogu — odrzekł pan Orzelski i widać było, że wiadomość ta pożądaną dlań była. Uściśnął powtórnie syna i pocałował go w czoło.

— Niechże ci Bóg błogosławi! — dodał. — Masz teraz fach, pracuj i bądź uczciwym człowiekiem. Dzięki Bogu, że mój grosz i twoja praca nie poszły na marne.

— Jakże się ojciec teraz czuje? Czy noga nie boli?

— A no, widzisz, jakoś łązę, nie ma czasu się pieścić, bo roboty huk; wiesz, sam jeden jestem, na nikogo się tu ani spuścić, ani kim się wspomóc. Na zmianę tylko przed slotą noga puchnie i ból odzywa się w kości; wysyłają mnie do Limanu, ale teraz ani sposób wyjechać, chyba aż po żniwach.

Zastawiono podwieczorek na werendzie. Władysław w istocie apetyt miał wysmienity, wywołany podróżą i powietrzem wiejskiem. Pani Orzelska dokładała mu coraz na talerz, z przyjemnością uważając, że mu smakuje wszystko. Anusia podawała mu masło, ser i śmietanę, chwalała się, że teraz sama dozoruje krów i przyrządza nabiał i pytała niemal co chwila:

— A co? czy nie smaczne? A czy miałeś takie w Warszawie?

Pan Orzelski po przechadzce w pole także na brak apetytu uskarżać się nie mógł; panie za to, szczególnie pani Orzelska, prawie nic nie jadła i zwracała tylko ciąglą uwagę na syna, czy mu czego nie brak lub czy mu co może nie smakuje.

Pan Orzelski wypytywał o urodzają.

— Widziałeś naszą pszenicę? Jak ją znajdujesz?

— Zbliżka widziałem tylko banatkę za sadem; trochę wyłożona, ale powinna jeszcze się podnieść.

— A uważałaś kłosy? pełne — co? Jakże tam koło P?

— W tamtym powiecie — o ile mogłem zauważyć — urodzają będzie gorszy. Miejscami pszenica bardzo rzadziutka. A ceny dobre?

— Teraz płacą osiemdziesiąt pięć kop. za pud; ale mówią, że w powiatach południowych wypaliło podczas dwumiesięcznej suszy niemal do szczytu, więc ceny się podniosą.

— Rok zeszły był ciężki — dodał po chwili z westchnieniem — żyto źle urodziło, na pszenicę padła rdza, ceny były wprawdzie, ale nie było co sprzedawać. Przytem i ty kosztowałeś mię sporo — musiałem znów zaciągnąć większą pożyczkę. Może Bóg da ten rok lepszy i lżejszy dla nas wszystkich.

Z drogi, idącej za ogrodem, odezwały się dzwonki.

— Ksiądz jedziel — zawołała Anusia i zerwała się z ławki przystawic jeszcze jedno nakrycie.

— Proboszcz odwiedza nas co drugą sobotę, jak zwykle — rzekła pani Orzelska — i zawsze pyta o listy i wiadomości od ciebie, Władku. Jest tobie zawsze życziwy.

— Przykro mi — odezwał się Władysław — żem nieraz zapomniał pozdrowić zacnego staruszka w listach, ale ostatniemi czasy miałem tyle zajęć i bywałem tak roztrzęziony, że powinien mi to wybaczyć. Przeproszę go zresztą.

W istocie w parę minut zajęczała przed ganek lekka karyolka księżowska, i siwy, już cokolwiek drżący staruszek, przy pomocy pana Orzelskiego i Władysława, zaczął wstępować na schody.

— A witam, witam szczerze — wołał, ujrzawszy Władysława — nasz „juris consultus“ już powrócił.

I z dyplomem — dodał nie bez pewnej dumy pan Orzelski.

— Niechże ci Bóg błogosławi, dziecko — mówił staruszek, obejmując drżącymi rękoma głowę Władysława — pamiętajże, bądźże wytrwałym robotnikiem w winnicy Pańskiej, a u Boga wiele jest darów i hojnie niemi nagradza usługi swoje.

I ręką drżącą ze starości i ze wzruszenia nakreślił nad głową młodzieńca znak krzyża świętego. Władysław schylił mu się do ramienia, a później do ręki. Kochał zacnego starca i czuł ku niemu cześć prawdziwą.

— Ha! ha! ileż to lat i jak upłynęły szybko — mówił dalej kapłan, usadowiony w wygodnym, trzcinowym fotelu przy stole — wszakżem to chrzcil niemowlęciem tego otoday młodzieńca — już dziś człowieka, jeszcze w Grabówce — wszak pamiętacie, państwo? — zwrócił się do gospodarzy.

I wszczeła się cicha, prosta gawęda o czasach dawnych i lepszych i popłynęła spokojnie jak ta woda, której tyle zeszło od owych dni i lat, wspominanych teraz przez tych ludzi niby z jakimś żalem i rozrzewnieniem.

Władysław tych czasów nie pamiętał, albo bardzo niewiele. Słuchał jednak tych rozmów w milczeniu i czuł, że pod ich wpływem, a może razem pod czarem tego cichego, letniego wieczoru, zapada w jakiś stan dziwnego ukojenia i wypoczynku. Patrzał na te ciche, srebrzyste głowy księdza i rodziców, spokojnie rysujące się na tle ciemniejszej już zieleni wina i powojów, na wdzięczną, lecz także jakby uciszoną główkę Anusi; na te klomby drzew zielonych, które wieczór także uciszył i z lekka ozłocił zorzą zachodu — patrzał i dziwił się, że jest jednak na ziemi taki oto raj cichy i cudny, o jakim nie ma ani pojęcia tylu ludzi miejskich, dla których świat jest jedynie polem walk, wiecznych ścierań się i gorączkowych zabiegów, bez takiego otęścia i wypoczynku i ciszy. A później przyszło mu na myśl, że on jest jednym z tych ludzi, że i on jest tu gościem i przechodniem tylko i że i na niego oczekuje w życiu takie smętne pole zgiełków i zapasów. Myśl ta wydała mu się w tej chwili okrutną i żalącą się w niebogłosy swej krzywdy. Westchnął głęboko.

— Jak tu jest ogromnie cicho — rzekł po chwili, gdy rozmowa na werendzie umilkła.

— To spokój Boży wsi i ludzi pracowitych i cichych — ożwał się proboszcz — ale wam, młodym, rwącym się do życia i wesela, spokój ten wydaje się zapewne głośną i pustką cmentarzy; a wszakże nie jest tak, o nie jest — dodał trzęsąc swą własną uszebrzoną swą głowę — nie śmierć to i nie pustka, ani sen beczynny, lecz także życie i praca, wielki trud i wielka krwawica żywota, tylko pod dłonią Bożą, na łonie wielkiej i wspólnej macierzy, tylko bez marnostek i py-

chy światowej, bez okrucieństw i przemocy, bez dobrodziejstw przerafinowanej cywilizacji wazszej i jej szychu. To życie — jakim je Bóg stworzył i jakie być osądził miarą ludzkiego szczęścia. Ha! ale ludziom nigdy nie dość tego co mają, a pycha zaślepia i złocistym biczkiem pogania wciąż naprzód...

— Dla mnie ta cisza jest miłą i prawdziwie dobroczynną — odezwał się Władysław, gdy staruszek przerwał — nie lubię miasta i gdybym mógł, nigdybym doń nie wracał.

— Ha, trudno — ożwał się pan Orzelski — jesteś młody, masz zdrowie i siły, walcz i pracuj... I ja ciężko zapracowałem ten spokój, jak wy nazywacie nasze tu życie, chociaż sam wiem tylko, ile on i dziś kosztuje mię krwi i potu...

A pani Orzelska zwróciła znów na Władysława wzrok zatroskany i niespokojny, w którym odbił się cały jej lęk o losy syna, przeczuwając w nim instynktownie brak tego hartu, co chwytta losy za bary.

Tymczasem uczyniło się już późno i zmierzch zaległ werendę. Ksiądz zaczął się niepokoić, myśląc o powrotnej drodze, która z przyczyny wzdórków i mostków mogła być niebezpieczną w ciemności nocy. P. Orzelski radził doczekać się księżyca, ale ten wschodził już późno, koło północy, więc postanowiono wyprawić przed karyolką księdza człowieka z kagańcem.

Zegnając się, zwrócił się staruszek do gospodarzy:

— A jutro po mszy św. nie zapominajcie o mojej chacie.

Władysław po dwudniowej niemal podróży koleją i po kilkogodzinnej jeździe końmi, czuł się porządnie zmęczony, nie opierał się więc naleganiom matki i odszedł zaraz po odjeździe księdza do swego pokoju. Kładąc się, obiecywał sobie, że nazajutrz wstanie jak najwcześniej i wyjdzie w pole użyć wiejskiego poranku.

Zawiódł się jednak. Obudził się ze snu mocnego dopiero przy wejściu pana Orzelskiego, który był już ubrany do kościoła i oznajmił, że najdalej za pół godziny zajdą konie.

Wyskoczył z łóżka, zlał się zimną wodą i w kwadrans ukończył tualetę. Przy śniadaniu spotkał się z paniami, które miały już na sobie okrywkę do drogi.

Wąsł, przybrany w odświętną kurtkę, przepasaną szerokim czerwonym pasem i w szerokie hajdawery, trzasnął z bicia, zawrócił z ręcznicą czwórka po za klombem i zatrzymał przed ganekiem. Państwo Orzelscy siedli w powozie, Władysław z Anusią na przednim siedzeniu i czwórka szpaków ruszyła gościńcem.

Napolach było odświętnie i świeżo. Wiatr nie wiał, złote kłosy stały wyprostowane i ciche, cały łąn zdawał się pogrążony w jakimś uroczystym skupieniu. Bławatki umyły się raną rosą, jakby umyślnie na święto i wzywały ciekawie ze zboż na jasny, uśmiechnięty świat Boży. Tylko głosy przepiórek, nawołujących się gdzieś niedzie w zbożu, przerywały święte ciszę łąnu.

Władysław przez całą drogę odzywał się mało. Cały był zapytrzony i zasluchany w okolicę, w te pola, tak dobrze mu znane, a jednak jak gdyby jeszcze piękniejsze teraz, niż dawniej. Czuł, że ta piękność i ta cisza gra mu na nerwach, jak dziwnie słodka i ogromnie kojąca melodia.

Zresztą jazda trwała niedługo. Po pół godziny ukazały się klomby starych lip i wyższy ponad nie czerwony dach kościółka.

Przed bramą stało kilkanaście chłopskich wozów, kilka powozów i szarabanów. Okoliczna szlachta, wiedząc, że ksiądz nie lubi zwlekać ze mszą, zjeżdżała się zawczasu.

Główna nawa kościółka zwykle zajęta była i zatłoczona przez wieśniaków. „Okolica“ to jest okoliczni właściciele i osoby, roszczące prawo do „inteligencji“, wchodziły zazwyczaj przez zakrystię i zajmowały miejsce między ołtarzem a romaniką. Był to przywilej zazdrośnie strzeżony przez niektóre szczególnie osoby, dla których zajęcie miejsca przed ołtarzem raz na tydzień — w oczach całej zgromadzonej okolicy — stanowiło niejako dyplom na zaliczenie się do

wyższego stanu w hierarchii społeczno-towarzystwej parafii. Nie dziw więc, że o to miejsce „w pewnej sferze“ staczano nieraz formalne walki i uciekano się do fortelów.

Gdy państwo Orzelscy weszli do kościoła, nabożeństwo rozpoczęło się było niedawno. Panie usiadły w zwykłe zajmowanej przez siebie ławeczce, panowie stanęli u progu zakrystyi.

Władysław lubił ten skromny, wiejski kościółek, z którym łączyło się w jego duszy wiele wspomnień dzieciństwa. Wchodził weń z przyjemnością, jako do drogiego miejsca, a zarazem ze czią, jako do domu Bożego. Przebył już był okres niepokojących zwątpień i walk wewnętrznych, zresztą ta walka w duszy od dzieciństwa wierzącej, w którą wszczepiono troskliwie nasiona istotnej religijności, była niedługą i zakończyła się zwycięstwem uczuciowej wiary.

Teraz więc, na głos dzwonka, odzywającego się od ołtarza, przyklęknął na kolana i uchylił głowy. Gdy powstał, mimowolnie spojrzął w przeciwną stronę i uczył, że serce zabiło mu żywo. W ławeczce, stojącej wprost drzwi zakrystyi, siedzieli państwo Roźtorowscy, a obok ławeczki klęczyły dwie ich córki.

Jedną z nich, wysmukłą brunetką o cerze matowej, miała profil nieruchomy i ostry. Młodsza stanowila zupełne z nią przeciwieństwo: niższa i nieco jaśniejsza, twarz miała żywszą i dużo w niej spokoju i dobroci. Obie modliły się z książeczką i miały wyraz skupienia i nabożeństwa. Władysław wydobyl z kieszeni książeczkę i począł także się modlić. Czuł w piersi przytem dziwną jakąś cichą radość i lekkość, którą sam nie wiedział czemu ma przypisać, czy nerwowemu wypoczynkowi i uspokojeniu, czy uroczystej ciszy domu Bożego. Mógł się modlić szczerzej i czuł, że każde jego westchnienie lżej ulatuje w górę, niż dawniej.

Wszakże w przerwach, od czasu do czasu zwracał oczy ku kącikowi romaniki. Dostrzegł, że podniosłszy raz oczy od książeczki i spojrzawszy mimowolnie ku zakrystyi, młodsza panna Roźtorowska poznała go zapewne, bo nachyliła się na chwilę ku siostrze i potem obie znów spojrzały w jego stronę. Nie chcąc czynić sobie dystrakcyi, ani być jej przedmiotem dla innych, cofnął się nieco w głąb zakrystyi i starał się znów skupić w sobie. Wszakże zauważył, że parę razy jeszcze panna Roźtorowska podnosiła oczy od książeczki i pomimowoli może spojrziała przez chwilę ku drzwiom zakrystyi.

Serce zabiło mu żywiej.

— A jednak obchodzę ją trochę — pomyślał sobie. Czuł, że myśl ta nie była dlań nie miłą.

Po nabożeństwie zaczęto wychodzić przez zakrystię i witać się ze znajomymi przed kościołem. Państwo Roźtorowscy od roku za ledwie mieszkali w tych stronach po dłuższej nieobecności, w czasie której mająteczek swój wydzierżawiali na dogodnych dla siebie warunkach, sami zaś mieszkali w Galicyi. Kontrakt wreszcie z dzierżawcą się skończył i pan Roźtorowski postanowił powrócić do rodzinnej wioski.

Z Orzelskimi znajomość więc była świeża, stunkskowali się jednak dość często. Teraz, spotkawszy się na dziedzińcu kościelnym, witali się serdecznie.

— Cóż siasiad do nas nielaskaw — rzekł pan Roźtorowski, podając rękę panu Orzelskiemu — wszakżeście winni nam wizytę podobno. Pani dobrodziejce ręce całuję — zwrócił się do pani Orzelskiej — jakże zdrowie?

— A no, jakoś żyjemy, dzięki Bogu — odrzekł pan Orzelski — i kiedyś urządzimy na Orzechowce formalny zajazd „in gremio“, bo i z młodymi; Wladek wieczoraj przyjechał.

Pan Roźtorowski uściślał rękę Władysława, powiedział mu parę grzecznosci z powodu ukończenia nauk i rozpoczęła się znów między sąsiadami rozmowa o codziennych gospodarskich kłopotach i troskach. Władysław tymczasem witał się z panią Roźtorowską i z pannami.

Pani Roźtorowska, ubrana zawsze w czerni po stracie dwóch synów, którzy obaj umarli jeszcze w szkołach, była osobą lat średnich, o twarzy dziwnie pociągającej i smutnej. Znać było na niej nieukojoyony żal macierzyńskiego serca,

głęboka jednak rezygnacja i wielka słodycz charakteru oblokły jej twarz w powagę spokoju i wielką cichość dobroci. Podając rękę pani Orzelskiej, mówiła z wyrazem głębokiego uczucia:

— Winszuję pani pociechy z syna, winszuję całym sercem!

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z PIŚMIENNICTWA.

Zasłużony wydawca rzadkich lub nieznanych zabytków staropolskich, bibliotekarz biblioteki Kórnickiej, dr. Zygmunt Celichowski, świeżo ogłosił drukiem fragmenty trzech nieznanych dotychczas dyalogów, drukowanych w Królewcu około połowy XVI w., a znalezionych, jak się to już niejednokrotnie zdarzało, w okładce starej książki, mianowicie kórnickiego egzemplarza Postyli Jana Seklucyana. Jak wiadomo, reformacja, zjawiwszy się w Polsce za Zygmunta Starego i rozwijawszy się za rządów jego syna, wywołała niesłychanie żywą polemikę, bądź ustną, bądź piśmienną, i temsamem stworzyła osobny dział literatury religijno-polemicznej, złożonej z wielkiego mnóstwa broszur i broszurek, pisywanych przez osoby różnych wyznań, broniące swoich przekonań religijnych i napastujące przeciwników. Do tego działu literatury należą i trzy powyższe dyalogi. W pierwszym z nich powracający z Witenbergi student, przesiąknięty *nowinkami*, dysputuje z księżmi i rodzicami i, jakkolwiek broni się wogóle dość niedołążnie, wszakże przekonywa ich ostatecznie o słuszności swych twierdzeń. W drugim dyalogu rozmowa toczy się między szatanem i grzesznikiem, wyobrazicielem reformacji, który również ostatecznie zwycięża swego przeciwnika. Najciekawszym i najważniejszym jest trzeci dyalog, a to z tego względu, że należy do najwcześniejszych utworów polemicznych, w których jest mowa o obrządku wschodnim; utwory takie do czasu unii Brzeskiej były niesłychanie rzadkie, a dopiero w XVII w. ukazują się w wielkiej ilości. Autor, również protestant, wprowadza tu na scenę księdza i popa i, nie szczędząc zarzutów obu wyznaniom, ostatecznie więcej słuszności przyznaje obrządkowi greckiemu. Pytanie, kto jest właściwie autorem tych dyalogów, pozostaje dotychczas nierozstrzygniętem. Dr. Celichowski przypuszcza, że mógł je napisać Rej w pierwszej epoce działalności pisarskiej; przemawia za tem brak głębszego wnikięcia w istotę przedmiotu, poruszonego w tych utworach, płytkość sądów i wogóle słaba argumentacja; wszakże z drugiej strony styl tych dyalogów nie posiada, jak mi się zdaje, wybitnych cech stylu Rejowego; opierając się na wskazówkach Pisańskiego, autora „Historji literatury pruskiej,” możnaby autorstwo przynajmniej pierwszego z tych dyalogów przypisać Seklucyanowi. To tylko jest niewątpliwem, że autor ich (lub imoże autorowie) należał do obozu akatolickiego.

był jednym z tych licznych wówczas pisarzy religijnych, którzy pomimo żarliwości w wierze nie odznaczał się wytrawnością sądów i większą siłą argumentacji, potrzebną w każdej polemice. *Maryja Łopuszańska*: „Zmierch czy świt?” Pełna niemożliwych błędów drukarskich, skutkiem niedbałej korekty dwutomowa powieść młodej i utalentowanej powieściopisarki ma na celu bardzo żywotną w naszym życiu społecznym kwestyę umiejętności gospodarowania na roli, wobec dość ciężkich warunków, skutkiem napływu żywołu germańskiego, z którym żywołu miejscowy, dla braku potrzebnej energii, rzutkości, a także poczucia potrzeby jednoczenia się przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, nie może wytrzymać konkurencji, tembardziej, że przybysze niezbyt liczą się z sumieniem i usiłują jak pają-

ki opłatać swe ofiary w umiejętnie zastawione sieci. Takim pajakiem jest niemiec Adalberg, dyrektor cukrowni, przybyły przed laty jako ubogi mechanik, a po kilkunastu latach kapitalista, pożyczający nieopatrznie pieniądze, by potem zagarnąć jej majątki. Ta myśl przewodnia powieści rozwija się na tle stosunku miłosego Fryderyka, syna Adalberga, z Wandą Olchowiecką, córką lekkomyślnego szlachcica, będącego jedną z ofiar niemca. Dwoje tych młodych ludzi, którym wszakże losy nie pozwoliły połączyć się węzłem małżeńskim, stanowi dodatnie typy w utworze; do nich można jeszcze zaliczyć stryja Wandy, pana Stanisława i jego siostrę, starą pannę, pojmującą trzeźwo swoje obowiązki, a także pracowitego i energicznego Teodora Łuczewskiego, człowieka, który może być uważany za przeciwieństwo do starej szlachty, nie umiejącej dać sobie rady w gospodarstwie rolnem. On właśnie, z młodą praktyczną żoną swoją, uosabia *świt* lepszej doli, której warunkiem jest wykształcenie jednostek, ich energia i fachowa znajomość rzeczy; gdy tymczasem starzy, nie umiejący zastosować się do nowych warunków życia wiejskiego, stanowią ów *zmierch* w życiu społecznym. Utwór panny Łopuszańskiej, ze względu na jego tendencję należy zaliczyć do lepszych prac powieściowych, które w ostatnich czasach ukazały się w naszej literaturze; wszakże jeśli zwrócimy baczniejszą uwagę na jego stronę artystyczną; nie będziemy mogli uznać za rzecz wykonaną bez zarzutu. Przedewszystkiem uderza nas w nim brak plastyki w malowidło występujących postaci, przynajmniej najważniejszych; autorka zazwyczaj słabo zarysowuje ich charakter i działalność, a niekiedy wydaje o nich sądy przez usta innych ukazujących się na scenie osób, które wypowiadają swe zdanie na zasadzie krótkiej z nimi rozmowy, nie dostarczającej jeszcze czytelnikowi dostatecznego o nich wyobrażenia (tak np. Stanisław charakteryzuje brata swego, str. 68, t. I; Wanda przyznaje Fryderykowi niepospolite skarby ducha, str. 247, t. I i t. d.). Co prawda, taka wadliwość rysunku i brak większej plastyki cechuje znaczną większość powieści z chwili bieżącej, a wolne od niej są chyba tylko utwory pierwszorzędnych naszych powieściopisarzy: Orzeszkowej, Sienkiewicza i Prusa. Prócz tego za wadliwość w budowie powieści musimy uważać niejednorodność wynikłą przez wprowadzenie do niej rodziny Skowrońskich i Łuczewskich, których losów autorka niczem nie związała z losami innych główniejszych postaci; skutkiem tego akcja utworu rozdwaja się i płynie dwoma niezależnymi od siebie korytami. To są ważniejsze usterki w powieści, której wszakże niepodobna odmówić i zalet pewnych, świadczących o istotnym talencie autorki, jak np. żywość i barwność opowiadania, naturalność w przebiegu akcji, konsekwencja w czynach i charakterze osób, a także umiejętność wyzyskania niekiedy pewnych objawów psychicznych, np. w rozmowie Fryderyka z Wandą lub z Pawłem Leńskim, zlekka zarysowanym okazem socjalisty.

*Marceli Strzemięczyk (Zofia Jenike)*: „Orchidee.” Debiut autorki na polu nowelistyki wypadł bezwątpienia nader obiecująco. Zbiór kilku jej nowel pod powyższym tytułem świadczy o wielkim zasobie sił pisarskich, może nie rozwiniętych jeszcze należycie, ale bądźco bądź niepowszednich i ujawniających się w kierunku czysto oryginalnym. W drobnych tych utworach, jakkolwiek tematem ich jest tak już oklepana, i w najrozmaitszy sposób wyzyskiwana miłość indywidualna, uderza nas przedewszystkiem wielką siłą uczucia, energia słowa, żywość i oryginalność opowiadania. Niektóre z nich, jak np. „Gwiazda morska” lub „Flawia” były jednym tehem napisane: autorka, jak to się zdarza nieraz u natur prawdziwie artystycznych, wylała w nich z piersi odrazu, bez rozmysłu to, co się domagało uzewnętrznienia, niewiele zwracając uwagi na wykończenie szczegółów. Ten właśnie brak wykończenia i subtylizacji malowanych uczuć jest, zdaje się, jedynym zarzutem, który możnaby uczynić „Orchideom,” jak-

kolwiek niektóre z nich, np. pełny wdzięku obrazek p. t. „Moja Mignon,” są bardziej rozwinięte. Przyjmując tedy z prawdziwą przyjemnością te plody talentu p. Jenike, życzyć jej tylko musimy, by na przyszłość zwróciła się do innych, ważniejszych kwestyj społecznych i objawów duchowych człowieka, niż uczucie erotyczne, które wypełnia wszystkie powyższe nowelki z wyjątkiem ostatniej, p. t. „Zadumy pana Michała.”

*Kazimierz Gliński*: „Z życia i fantazyi.” Jest to zbiorek opowiadań, często zaprawionych naturalnym humorem, a podobnych zupełnie pod względem obrobienia do tych, które przed kilku laty wyszły z druku pod ogólnym tytułem „Splątane nici.” Niektóre z tych drobnych utworów zawierają dość udatne wizerunki charakterów, pochwyconych ze strony komicznej, np. niemca Hansa, zalecającego się do francuzki, lub podsędką, będącego nieszczyśliwą ofiarą krewkości swej żony; inne zaś (jak np. obrazek p. t. „Dymitr Sokolicz”) uwydatniają bardziej zgłębione przez autora natury. Naczelne miejsce w tym zbiorze zajmują dwie fantazyi: „Noc upiórów” i „Noc pasterzy;” zalecają się one piękną myślą oryginalną, jakkolwiek możnaby im zarzucić zbytnią szkiełowość, brak szerszego rozwinięcia tematu. Pięknym jest również przy końcu książki umieszczony dramacik dwuaktowy p. t. „Dla czego?” w którym autor doskonale uwydatnił w charakterze głównej bohaterki kolizyę uczucia miłości z przesadami kastowemi. Ujemną stroną wydawnictwa stanowią liczne błędy drukarskie, a czasem opuszczenia zdań całych.

J. Nitowski.

## NIEDOLA.

OBRAZEK.

(Dokończenie).

Gdy więc stryj rzucił jej w twarz tę obelgę, wówczas podniósłszy dumnie głowę, donośnym głosem przemówiła:

— Dość tej nieprawdy! tego fałszu, tej krzywdy sierocy. Sprowadziście mnie tu gwałtem, po co? aby mnie na podstawie drobnego pozoru potępić! Wy wiecie jak było, wy wiecie żem niewinna, i tylko tlejąca w was nienawiść spada dziś na mnie, jak ongi na mego ojca! Niewinną jestem! a wychodzę przez was skrzywdzoną na dobrem imieniu, nieszczyśliwszą i samotniejszą niż byłam, bo przez wasze kłamstwa stracił życie człowiek jak ja niewinny i prawy. Niech was Bóg sędzi za tę niedolę sieroty!

I przy tych słowach, nie czekając na odpowiedź stryja, Wiktorya szybko wyszła z pokoju.

W pół godziny potem przybyła do Karczówki, gdzie ją w progu powitano chlebem i solą. Po uroczystem, serdecznem przyjęciu, zażądała, aby ją pozostawiono na czas pewien w spokoju.

Spełniono jej życzenie, znalazła się więc sama ze swojemi jedynie myślami.

Ta nagła zmiana losu spadła na nią tak niespodziewanie, iż czyniła poprostu wrażenie snów fantastycznych. Wszystko to wyglądało w rzeczywistości tak dziwnie, tak jakoś niekonkretnie, jakby za podstawę do nowego życia sieroty zmienne losy obrały — zamiast ziemi rodzinnej — błędną mgławicę. Jakże ona czuła się teraz obcą w tym samym dworku, w którym ujrzała światło dzienne!

Po co ja w ogóle żyję! po co się jeszcze tułam po świecie! — myślało dziewczę — gdy zwłaszcza ten, którego ukochałam nad życie, odepchnął mnie w fatalnej pomyłce. A jednak ja jestem niewinną! Cóż to za ironia losu!

Po za tem Wikcia odczuwała, iż uczucie szczerzej sympatyj, jaką żywiła dla Tadeusza, ulatniało się wraz z westchnieniami żalu.

Chwilami nawet nienawidziła go za to, iż śmiał tak zuchwale zdeptać najświętsze uczucia pierwszej dziewczęcej miłości. Duma jej była podrażnioną do najwyższego stopnia. Żałowała nawet, że mu nie rzuciła w twarz pogardy za jego bezwzględny wyrok potępienia. Rezultatem wszakże splątanych chaotycznie myśli—był wybuch płaczu, płynącego jakby fala wezbrana z głębi zbolalej duszy.

Przez kilka dni błędziła po smutnych dla niej obecnie komnatach karczowickiego dworu, aż dnia pewnego, zażądawszy koni, pojechała do miasteczka.

Mateuszowi przykro trochę było, że Wikcia nie zwierzyła się nawet przed nim z celu swojej podróży, chociaż on jeden chyba tylko miał prawo żądać od niej zaufania. W dodatku, wycieczki podobne poczęły się powtarzać coraz częściej.

— Co ona tam robi?!—dociekał stary, nie mógł wszakże znaleźć na to odpowiedzi.

Pewnego wieczoru panienska, powróciwszy jak zwykle z miasteczka, wezwała do siebie Mateusza.

— Mój dziadziu—rzekła doń z łagodnym uśmiechem na ustach—pragnę wam wyjaśnić nader ważną okoliczność, która od dzisiejszego dnia przestanie być tajemnicą. Nie chciałam przedtem mówić, abyście próżno nie perswadowali, ale teraz czuję się w obowiązku powiedzenia wam wszystko.

— Cóż to takiego?

— Nie przerażajcie się tylko.

— No, no, słucham.

— Karczówka już nie moja..

— Jezus, Marya!—zawolał Mateusz, załamując ręce.

— Nie rozpaczajcie, dziadziu, gdyż spełniłam czyn uczciwy.

— To się uczciwością ma nazywać?—jęknął boleśnie starzec.

— Nie inaczej.

— I komuż to pani sprzedała Karczówkę?

— A czyż ja mówię, żem ją sprzedała?

— Więc cóż?

— Uczyniłam zapis.

— Jaki, mów, u Boga Ojca, zapis?

— W Karczówce będzie szkoła sług i gospodyń, z bezpłatnem utrzymaniem pięćdziesięciu uczciwych sierot.

— Wy, dziadziu, zostaniecie mianowani dozorcą budynków, z odpowiednim wynagrodzeniem, które zapewni wam wraz z żoną dostatnie i spokojne utrzymanie do końca życia.

Mateusz stał oniemiały. Wszystko to było dlań tak dalece nowe—tak na razie niepojęte, że słowa formalnie wzięły mu w gardle.

— No—i cóż?—mówiła z uśmiechem Wiktorja—chcecie mnie zburzyć za to?—he?

Mateusz westchnął ciężko.

— Gdzież ty zamieszkaż dziecino?—zapytał niespokojnie.

— Ja—eh, dziadziu, ja już mam piękne pomieszczenie.

— Gdzie?

— Daleko wprawdzie, bo aż w Warszawie.

— Po cóż aż tam?

— Tego majątku przyjąć na własność nie mogłam! to, dziadziu, przechodziło formalnie moje siły! abym po trupie szlachetnego człowieka, który przeze mnie zginął—miała dochodzić do majątku; postanowiłam tedy zacząć pamięć jego uczcić również znacym uczynkiem,—zatem przyszłą szkołę mianowałam godłem jego nazwiska, a cała wieś od dnia tego nazywać się będzie Żewicą.

— Wszystko to już przeprowadzono na drodze urzędowej, zatem zezwolenie władzy we właściwym czasie nadejdzie. Jeżeli zaś o moim losie dowiedzieć się kiedyś przyjdzie wam ochota, to bądźcie o niego spokojni: Bóg czuwa nad sierotami.

— Co jednak myślisz robić dziecko, ty moje pocziwe?

— Dzięki staraniom i poparciu naszego biskupa, jestem już zapisaną do szpitala miejskiego.. Mateusz szeroko rozwarł oczy.

— Do szpitala?!—powtórzył, załamując ręce—czemże ty tam będziesz?

— Siostrą miłosierdzia, dziadziu...

— Boże litościwy!...

— Grosza jednego złąd nie biorąc, śpieszę jedynie nieść pomoc cierpiącej braci, a jeśli nieraz być może, łza gorąca stoczy się po mojem obliczu, to nie spłynie ona z żalu za utracenem mieniem doczesnem, jeno będzie to zanieśiona przed tron Boga serdeczna a cicha prośba o pomoc dla sierot, które zawsze znaleźć we mnie potrafią szczerą pociesicielkę w chwilach gorzkiego zwątpienia.

Skończyła, a Mateusz, patrząc na jej młodocianą twarzyczkę, rozpromienioną w tej chwili i na te piękne oczy, ogniem świętego zapалу błyszczące,—mimowoli, złożywszy jak do modlitwy dłonie, po raz pierwszy w życiu ośmielił się przemówić do niej wprost po imieniu:

— Wikciu!... Wikciu!... dziecieniu moje!...

Lecz głos mu w tej chwili odmówił posłuszeństwa. I oto siwy ten jak gołąb starzec, padłszy przed szlachetną dziewczyną na kolana, pocałował jej ręce...

Stanisław Żytkowski.

## LISY MARTY DO MARYI

przyczynek do kwestyi kobiecej

podług

Pawła Heysego.

skreśliła

S. W.

(Dalszy ciąg).

LIST III.

1 Października wieczorem.

Mój mąż poszedł do stowarzyszenia lekarskiego; jest to jedyny wieczór w tygodniu, w którym mi się nie przeniewierza.

Spowiadam się więc dalej przed tobą, Kochana Mary. Niestety, życie moje nie obfituje w wesole przygody. Nie ma w niem nawet niewinnych, jednodniowych miłostek; sądę, że nie posadziłabys o to swojej Marty. Uchroniło ją od tego wychowanie i praca, matka bowiem nigdy mi różnowanie i praca, matka bowiem nigdy mi różnowanie nie pozwoliła. Domagała się ona, żeby każdy szczegół wyprawy był uszyty własną moją ręką. Szkoda, że minęły te czasy, gdy i płótno samej trzeba było usnuć i uprząść, aby zasłużyć na honor wstąpienia w święte związki małżeńskie. Ileż to starych panien z prawdziwą nienawiścią i ze wstrętem patrzyło na szafę napełnioną bielizną, która im przypominała tyle straconego trudu. I dzisiaj, gdy nadszedł czas, że do szycia używa się maszyn, a najwięcej wymagająca narzeczona wyprawę swą w kilka dni zakupić może—ileż cichych łez uroniłam nad bielizną stołową, pościelą, gdy z powodu przestarzałych zasad własnoręcznie krajać, obrębiać i wykończac musiałam!

Robota ręczna—jedno z głównych zajęć kobiety w dobrych dawnych czasach! Ależ my przecież weszliśmy na drogę postępu. Uprawiałyśmy sztuki piękne, codziennie dwie godziny grałyśmy na fortepianie, malowałyśmy kwiaty na szkatułkach i porcelanie. Niestety, jedno i drugie bez talentu; lecz kobieta musi się uczyć, jak życie ubarwić, aby sama mogła być okrasą życia!

Niczem okrutniej względem nas biednych nie grzeszą, jak pięknobrzmiącymi frazesami, pełnymi pochlebstw.

Gdybym się przed moim dobrym ojcem użaliła, że się nudzę, spojrzalby na mnie wielkimi oczami. Czyż nie byłam od rana do wieczora „zajęta“? Matka za moją pilność ustawicznie

mnie chwaliła. A w nagrodę tego pozwalano mi podczas zimy bywać w teatrze, na koncertach, często nawet na balach, a latem brać udział w wycieczkach zamiejskich, gdzie miałam sposobność poznać się z młodzieżą. Jakże więc mogłam się nudzić?

Że natury są rozmaite, że jedne pragną rozrywki, a drugie doznają duchowego głodu, tego bym moim rodzicom nie była w stanie wytłomaczyć. Czytania mi nie zabronili, lecz czuwali nad moją lekturą, a jeżelibym prosiła o książkę, która nieco więcej pobudza fantazję, odpowiedziano mi, że to zatrudne dla mnie. „Ja sama nie miałam zamiaru zostać uczoną. Zeniąca się młodzież w naszej okolicy ze zgrozą żegnała się, słysząc, że dziewczyna wie coś o Darwinie, Rankem, albo też o Helmholtzie.

Ja o tych trzech wielkich ludziach i innych przewodnikach ludzkości niewiele więcej prócz nazwisk wiedziałam, a jednakże mało miałam szczęścia, nad czem matka moja wielce ubolewała. Tańczyłam dobrze, wyglądałam bez przechwały nieźle, z balów przynosiłam często bogaty zbiór kotylionowych bukietów. Minał trzeci karnawał, a do zaręczyn jakoś nie przyszło. Im więcej wyprawa moja rosła, tem głębiej zapadały się nadzieje przyszłości, jakie dobra moja matka dla mnie tworzyła.

Bezwarunkowo byłam zapisana do czarnej księgi, w której pomieszczone są nazwy wszystkich córek z dobrych rodzin, wnoszących w dom męża tylko szafę z bielizną.

Nie martwiło mnie to wcale, gdyż pomiędzy tymi wszystkimi młodymi ludźmi, z którymi tańczyłam, kolacye zjadałam, trochę kokietowałam, nie było ani jednego, któryby mnie dłużej jak przez jeden wieczór balowy zajął.

Najdroższa, czy przypominasz sobie mego brata?—jest urzędnikiem, lecz pozostał zawsze tym samym dobrym chłopcem, jakim był wtedy, gdy ci na łodzi w zwierzyńcu łyżwy przepasywał i uwielbiał cię jako nadziemską istotę.

Własna siostra musi mu dać świadectwo, że niczem się nie różni od dzisiejszej młodzieży. Każdy myśli o tem, aby karierę zrobić, nie pracować zanadto, używać w miarę rozkoszy życia i niepotrzebnymi myślami głowy sobie nie zaprzatać. Żona dla swojego męża tem miłszą jest przyjaciółką życia, im mniej ma duchowych potrzeb, któreby ją w rezultacie tylko do tego doprowadziły, że uważałyby się za mądrzejszą od męża. We własnym swoim interesie musi ona unikać rozmyślań dozwolonych jedynie mężczyznom; kobieta nadto mądra traci ów naturalny powab, wdzięk i urok, prawdziwie kobiecy.

Nie do uwierzenia, jak ci „myślący“ panowie stworzenia tak beźmyślnie te prastare tysiącokrotnie odpierane głupstwa zawsze na nowo powtarzać mogą!

Nic więc dziwnego, że nie znalazłam poparcia nawet u rodzzonego brata, gdy oświadczyłam rodzicom, że już czwartej zimy za nic w świecie spędzać nie chcę na balach.

Nie mógł pojąć, że ja mogłam gorąco pragnąć jeszcze czegoś poważniejszego się nauczyć. Uważał mnie za aż zanadto wykształconą, mówiłam bowiem trzema obcimi językami. Lecz co to była za umiejętność! zaledwie mogłam romans od biedy przeczytać, ale mówić poprawnie nie umiałam. Przypominasz sobie, jak śmiałyśmy się, gdy w wyższych klasach dyrektor czytał nam „Athalię.“ Po włosku sama się z trudem trochę nauczyłam, czytając „Promessi sposi.“

Ojciec mię pytał, czy ja chcę egzamin na nauczycielkę zdawać? albo podążyć za tą zarozumiałą moją przyjaciółką Maryą do Anglii, chociaż ona znaku życia o sobie nie daje. Ja odpowiedziałam spokojnie, że nie mogę wieść takiego bezczynnego życia. Przyznawałam, iż najwłaściwszem zadaniem kobiety jest pójść za mąż i pracować dla męża i dzieci. Ale jeżeli ja wyjątkowo do tego miliona dziewcząt niezamężnych należeć będę, to czyż nie lepiej, żebym się nauczyła jakieś pożyteczniejszej pracy?

Do tego nawet i piękne odczyty w Liceum, na których mi wolno było bywać przez całą zimę, nie byłyby mi pomogły. Tam właśnie podawano przysmaczki, ale nie uczono jak na chleb zara-

biać. Twarde drzewo gotowam była ciosać i wcale bym się tego nie wstydziła. Pragnęłam nawet jeszcze raz wstąpić do szkoły. Otto śmiał się ze mnie i powiedział: „Takich starych uczeń nie przyjmują w szkole, musiałabyś chyba brać prywatne lekcje. Oprócz tego, trzebaby się uczyć jeszcze innych przedmiotów gimnazjalnych. A co byś ty chciała właściwie studiować? Nie zastanowiłam się jeszcze nad tem, po chwili jednak rzekłam: medycynę. Myśl tę nasunęła mi choroba starszej siostry naszej matki, ciotki Ludwini, która mieszkała przy nas i dziesięć lat chorowała, a nie chciała się poradzić doktora. Kobiet lekarzy nie było jeszcze wtedy u nas.

Choroba ciotki zamieniła się w chroniczną i nieuleczalną i wreszcie wywołała ogólny rozstrój nerwowy, graniczący prawie z obłądem.

Litowałam się zawsze nad tą biedną męczennicą i nad temi, które przez kobiecą delikatność marnieją. Ale rodzice nie chcieli tego, abym pojechała do Szwajcaryi na medycynę. Gdy ciotka umarła, zapomniałam o moim zamiarze.

Podziwiałam cię zawsze, żeś obrała taki ciężki i męczący zawód.

Mężczyźni twierdzą, że kobiety nie mają siły do tego zawodu, a czyż obowiązki siostr miłosierdzia nie są uciążliwsze od obowiązków lekarza? Sądzę, że mężczyźni obawiają się tylko konkurencyi ze strony kobiet.

Lecz jeżeli ja na doktorkę nie byłam zdatną, to czyż nie było dosyć innych gałęzi wiedzy, któreby nienasyconą myślącą duszę dziewczęcą nakarmić mogły? Czyż naprawdę mózg kobiecy nie jest dość duży, aby historję, literaturę lub historję sztuki pojąć? Czyż nie było takich kobiet, które nawet w matematyce i astronomii zasłużyły na podziw? To są wyjątki, wtrącił mój brat; a czegoż nas uczą, zawołałam z oburzeniem? Mnóstwo rzeczy niepotrzebnych! a jednak mogłybyśmy się uczyć czegoś pożyteczniejszego. Co do mnie, jaby m z radością wszystko oddała, aby się pozbyć uczucia duchowej niemocy.

Jaką gałąź wiedzy obrałabym, nie umiałabym na to pytanie odpowiedzieć, lecz chciałam czemś być, coby mnie wewnętrzne dało zadowolenie. Z naszą bowiem powierzchowną wiedzą szkolną, nie doszliśmy dalej jak człowiek w podróży, który na każdym miejscu tylko kilka tygodni zabawi, potem znowu w innym łóżku gościnnego domu przenocuje i z miast, które mijają, tylko wieże kościołów i kilka ulic poznaje. Ja chciałam mieć swoje własne łóżko, któreby pod moim własnym duchem stało, i naokoło znać doskonale ludzi i rzeczy.

Wypowiedziałam moje poglądy ze wzruszeniem, podczas gdy brat słuchał mnie z ironicznym uśmiechem, jakby miał przed sobą rozgrymaszonego dzieciaka.

Uniosłam się i zaczęliśmy się sprzeczać, aż dopiero wejście mego kochanego ojca przerwało kłótnię.

Zamilkłam, gdyż sprzymierzeniec, którego miałam nadzieję znaleźć w bracie, aby pozwole nie ojca uzyskać, zmienił się w nienawistnego mego przeciwnika. Byłam zrozpaczona. Z jaką tęsknotą myślałam wtedy o mojej Maryi, która była zawsze dla mnie pomocą i podporą, i teraz by mi powiedziała, co jest mojem prawem i moim obowiązkiem.

Los rozwiązał zagadnienie i przeznaczył dla mnie do spełnienia bardzo smutny obowiązek.

Mój kochany ojciec, w skutek nadmiernej pracy w swem urzędowaniu, zapadł na ciężką chorobę, z której już nie miał powstać. Gdy po kilkumiesięcznej chorobie ojciec zamknął oczy, musiałam być dla matki podporą i opieką, znalazłyśmy się bowiem w bardzo ciężkiem położeniu.

Emerytura nie starczyła, aby dom na dawną skalę prowadzić, tem bardziej, że musiałymy utrzymywać brata i że dużo wierzyteli było do zaspokojenia. Dopiero wtedy poznałam co to jest złe, nie ekonomiczne gospodarstwo, do którego moją dobrą matkę doprowadziły przestarzałe pojęcia. Nie chcę tu detalicznie wszystkiego opisywać!

Matka miała jak najlepsze chęci, ale nigdy nie umiała nadać całemu gospodarstwu właściwego kierunku. Wiele rzeczy można było taniej w sklepie kupić, niż robić w domu, bo czas to pieniądz, a pracę można zużytkować na coś pożyteczniejszego. Nieraz dawniej przy zakupieniu jakiejś rzeczy, która mi się wydawała za drogą i bezcelową, pozwoliłam sobie uczynić jakiś zarzut, lecz byłam zgromiona odpowiedzią, że i u mojej babki tak rzadono. Ale było to czterdzieści lat wstecz, gdy Berlin nie był jeszcze takim wielkim miastem! Ciężko przygnębiona kobieta wypuściła zupełnie cugle rządu domowego z rąk. Ze stratą męża utraciła wszelką chęć do życia. Jeszcze rok nie minął, gdy i ją odprowadziliśmy na wieczny spoczynek.

Nad jej trumną brat po raz pierwszy, po owej sprzeczce rękę mi podał. Czuł, że zawinił, gdyż widział, że siostra musi sama walczyć, aby zapewnić sobie utrzymanie. A czyż wychowanie, które odebrała, dostarczało jej do tego środków? Pozwól mi tem nierozwiązanem pytaniem przyszłości zakończyć mój list, najukochańsza. Mój mąż właśnie wraca z zebrania, widzę z przerażeniem, że już północ. Przepraszam cię, że tak obszernie przed tobą się spowiadam, lecz znam twoje serce i jestem pewna, że ty mnie rozumiesz.

Dobranoc, Mary! ucałuj twoich kochanych chłopców.

#### LIST IV.

W. 7 Października.

Oparłam się, najukochańsza moja, pokusie pisania zaraz na drugi dzień, gdy rozpoczęłam mój pamiętnik. Kładąc bowiem do koperty ów list niepomierne gruby, przelekłam się jego objętości, i chciałam zaczekać na Twoją odpowiedź, gdybym najmniejsze podejrzenie powzięła, iż Ty mnie nie pojmujesz, niebym już do Ciebie nie pisała.

Jeżeli mało zrobiłam w życiu, jest to winą wychowania, które nas do walki z życiem tak nieudolnie uzbroiło! Teraz gdy zostawiona zostałam samej sobie, gdzie miałam szukać dla siebie pracy? Byłam zdrową, lecz do ciężkiej cielesnej pracy nie dość silną. Mądrzy mężowie, którzy nie wahają się, w kopalniach i fabrykach na równi z mężczyznami używać do pracy kobiet, bronią dziewczętom cięższej roboty, lecz pozwalają im zamezczać się naukami.

I na co nam ta nauka? Chyba po to żeby w salonie korzystnie się przedstawić.

Lecz teraz gdy trzeba na chleb zarabiać — gdy po sprzedaniu naszych mebli i srebra, i po zaplaceniu wszystkich długów zostało na moją część zaledwie kilkaset marek — co miałam począć?

W różnych domach gdzie się starałam o miejsce nauczycielki, uznano mnie za niedostatecznie wykształconą. Językiem francuzkim i angielskim nie władałam zbyt wprawnie. Wiadomości z historii i geografii były też niezupełne, a moja amatorska gra na fortepianie nie uważała mnie do dawania lekcji muzyki. Malarstwo na porcelanie zasługiwało tylko na litościwy uśmiech.

Jakkolwiek bądź na bonę byłam zdolną, lecz wzdrygałam się na myśl o takiej niewoli.

Byłam przecież wychowana dla domu. „Kobieta należy do rodziny. Jeżeli własnej niema, to dla cudzej powinna być pożyteczną.“

Próbowałam dostać się jako pomocnica do gospodarstwa. A ponieważ mogłam z czystym sumieniem zapewnić, że znam się na tem co się tyczy kuchni, piwnicy, bielizny i smarzenia owoców, mogłam więc starać się o takie miejsce. Dostałam się też wkrótce do domu bardzo znacznego i bogatego, którego pani z powodu długiej choroby nie podnosiła się prawie ze sofy.

Była to bardzo przyjemna kobieta i z zaufaniem się do mnie zbliżyła. Sądziłam że zbliżyłam się do portu.

Wprawdzie dla moich potrzeb duchowych, nie miałam tutaj najmniejszego pokarmu, pano-

wał bowiem w tej rodzinie ton, który pan domu, zaledwie na wpół wykształcony bogacz, za prawdziwe godło wyższego towarzystwa uważał, a który naśladowały jego dzieci. Syn sposobał się do dyplomatycznej kariery, córka była to nieładna i próżna osoba. Lecz patrzyłam na wszystko przez szpary, ponieważ w godzinach wieczornych, po herbacie, mogłam się ukryć w moim pokoju i zatopić w książkach.

Niespełna trzy miesiące używałam tego skromnego szczęścia, poczem pani domu powiedziała mi, że nie mogę dłużej pozostawać w jej domu, gdyż syn jej Alfred, zabardzo się mną zajmuje! Z Elzą także nie umiałaś się obchodzić, dodała. Dla mnie samej stałaś się bardzo drogą, ale ponieważ pragnęłabym panią widzieć szczęśliwą, chcę ci dać macierzyńską radę: szukaj sobie innego zawodu. Jesteś za młoda i za piękna aby zajmować tego rodzaju stanowisko. To prowadzi zawsze do niemiłego nieporozumienia. Pocałowałam dobrą panią w rękę i opuściłam jej dom bez żalu. Nie tylko syn zaczął się mną interesować, ale gospodarz też łaską swą mnie prześladował, a niewinna z początku zazdrość córki, zmieniła się w nienawiść. W takich warunkach musiałabym z własnej woli ten dom opuścić.

Znowu znalazłam się na bruku i rozważałam, jakim będzie nowe jarzmo.

Wkrótce dostałam zajęcie, gdyż moja pani, którą właśnie opuściłam poleciła mnie swojej dawnej znajomej, która szukała panny do towarzystwa. Nie namyslałam się długo i przyjechałam do miejsce.

Cały rok przetrwałam u tej pani. Co przeżyłam, dałoby się zaledwie pomieścić w angielskim romansie. Moja nowa pani miała lat sześćdziesiąt, ale wywierała wrażenie starej czarownicy, z ostremi wybladłymi rysami twarzy z których nie można się było domyśleć minionej piękności. Owdowiawszy wcześniej, przyzwyczajona do tryumfów, pragnęła ciągle panowania i grzeszności. Ponieważ ja się czułam zobowiązana tylko do ślepego posłuszeństwa, a nie do służby bałwochwalczej, mściła się na mnie za tę dumę, którą mi zawsze zarzucała, dając mi ucałować wiele nieznośnych kapryśków, którymi chciała wyczerpać moją cierpliwość. Nie pozwoliła mi w podróży, gdyśmy do godnych widzenia miast i miejscowości przybyły, nigdy z hotelu wyjść, abym moją chęć widzenia zaspokoić mogła. Sama znała prawie wszystko, wyjeżdżała więc tylko w pół zamkniętym powozie dla świeżego powietrza.

Znosiłam wszystko bez szemrania. Wola stłumiła się we mnie, byłam jak automat który się codziennie cierpliwie daje naciągnąć. Zresztą to przestawanie ze złą i starą kobietą było dość urozmaicone. Miała ona zdrowy rozsądek, ostry język, i znajdowała osobliwą przyjemność w opowiadaniu o zdarzeniach niezbyt delikatnej natury.

Kto wie jak długo bym u niej wytrzymała! Wreszcie jednego razu nagle zmarła. W testamentie zapisała mi dwa tysiące marek, skreśliwszy w dodatku kilka słów przyjaznych dla mnie, które ja ze wzruszeniem odczytałam, dziwiąc się takim sprzecznościom w charakterze zmarłej.

Byłam wolna i przysięgam sobie, że nie przyjmę już nigdy tak niewolniczej służby.

Do dalszego kształcenia się byłam już za stara, i środki by mi na to nie wystarczyły. Lecz parę lat przy moich skromnych wymaganiach mogłam przeżyć, i przez ten czas mogłam się do praktycznego zawodu przysposobić.

Wróciłam do domu i wstąpiłam do szkoły handlowej. Moja chciwość sławy nie sięgała wyżej nad to żeby zostać buchalterką. Byłam tak gorliwą, w tej nowej pracy że sama się sobie dziwiłam. W tym czasie brat mój też tu przybył, dostał posadę asesora i osiągnął cel swych marzeń, gdyż się zaręczył z bogatą panną.

Wstydził się mego postanowienia, że ja jako buchalterka, na siebie zarabiać będę, i nie będę mogła bywać w jego kółkach. Lecz ja postawiłam na swoim i oświadczyłam mu, że mnie

„jego kółka“ nie nie obchodzą i jeść mi nie dadzą.

I może siedziałabym dzisiaj, zamiast listy pisać, pochylona nad grubą księgą i pisałabym liczby w rubrykach „przychód i rozchód“, gdyby nie zdarzenie jakie mi się przytrafiło.

Napiszę Ci o tem w moim przyszłym liście, najmiłszy skarbie, będziesz go mogła spokojnie oczekiwać, ponieważ widzisz teraz „ziemię“. Tymczasowo dołączam fotografię kochanego sternika który moją łódź życia, uratował od rozbicia o skały podczas wstrząśnień i burz.

Yours truly

Marta.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Ważny wypadek zaszedł w życiu muzycznym naszego miasta: przed tygodniem została zatwierdzona nowa instytucja pod nazwą „Filharmonii Warszawskiej;“ o instytucji tej, która odegra u nas wielką artystyczną rolę, pragnę szerzej się dzisiaj rozpisać.

Każde wielkie miasto, którego publiczność ma smak artystyczny rozwinięty wysoko, posiada filharmonię. Że się w Warszawie smak taki wyrobił, mamy dowód właśnie w powstaniu podobnej instytucji, która rozproszona dotąd pierwsiastki muzyczne, jak soczewka światło—zogniskuje w sobie i nada życiu muzycznemu Warszawy dużo rzeczywistego blasku.

Inicyatywę w sprawie filharmonii podjął pan Aleksander Rajchman, redaktor „Echa Muzycznego;“ dzięki wytrwałości i energii w działaniu, oraz poparciu osób wpływowych i możnych, udało się p. Rajchmanowi rzecz całą wprowadzić na tory najodpowiedniejsze, wiodące prosto do celu. Projekt zyskał przedewszystkiem opiekę znanego mecenasu sztuki, księcia Stefana Lubomirskiego, który z zapalem sobie właściwym zabrał się do dzieła; wkrótce dzieło uwieńczone zostało powodzeniem materyjalnym i mogło wyłonić się w całej pełni z mgły projektów. Dziś Instytucja Filharmonii zyskała sankcję władzy i należy już do rzeczywistości, niezadługo zaś zacznie przyoblekać się w widome kształty.

Według brzmienia ustawy, celem Filharmonii jest „prowadzenie sali koncertowej w Warszawie, nabywanie i budowanie odpowiednich gmachów, utworzenie orkiestry, dawanie koncertów, zakładanie bibliotek i t. d. Kapitał akcyjny wynosi 500,000 rub. w 1000 akcyjach po 500 rubli. Kto przy pierwotnej subskrypcji nabędzie najmniej 10 sztuk akcyj, ten otrzyma dożywotni fotel bezpłatny na koncerty towarzystwa. Dywidenda, po potrąceniach na kapitał rezerwy, ograniczona jest do 5%; przewyżka będzie obracana na cele muzycznej natury, zakładanie bibliotek, urządzenie odczytów, udzielania stypendyów. Filharmonią zarządzać będzie dyrekcja, złożona z trzech członków i dwóch zastępców, wybieranych przez zebranie ogólne. W Filharmonii znajdować się będzie rada artystyczna, złożona z pierwszorzędnych muzyków polskich. Pierwszą czynnością nowego towarzystwa jest zbudowanie gmachu koncertowego, drugą — utworzenie orkiestry.

Plan gmachu Filharmonii warszawskiej opracowali pierwotnie architekci wiedeńscy: pp. Fellner i Helmer, nie uwzględnili jednak wszystkich potrzeb wymagalnych; założyciele tedy zwrócili się do budowniczego p. Karola Kozłowskiego, który nakreślił oryginalny plan gmachu, zastosował zaś tylko westybul i salę do szkiców wiedeńskich. O planie tym znany rzeźbiarz p. Lewandowski pisze: „Gmach będzie wielką

budową w ślicznym stylu renesansowym o trzech frontach i stanie na placach po-szpitalnych Dzieciątka Jezus; główny front wychodzi na ulicę Nowo-Jasną, boczne na Nowo-Sienną i ulicę Boudouina. Całą prawie szerokość budynku zajmie olbrzymia sala koncertowa, w której się pomieści 2000 osób: parter pomieści 1300 osób, dwie galerye — resztę. Od ulicy Boudouina na pierwszym piętrze będzie sala mniejsza na wieczory kameralne, oraz mniejsze popisy solowe. Oprócz tych dwóch sal głównych, gmach obejmie lokale na biura, dla „Lutni,“ ośm sklepów frontowych, lokal na restaurację i kawiarnię wiedeńską. Plany p. Kozłowskiego oceniła komisya, złożona z pp. Marconiego, Goebela, Szyltera i Goldberga i wyraziła się o nich najpochlebniej.

Orkiestra filharmonii, jak donosi „Echo Muzyczne,“ składać się będzie z 65 osób. Obsada jej równać się będzie na początek obsadzie filharmonii berlińskiej; będzie mianowicie: 11 skrzypiec pierwszych, 8 drugich, 6 altówek, 6 wiolonczeli, 5 basów, 3 flety, 2 oboje, 1 rożek angielski, 2 klarnety, 2 bas klarnety, 2 fagoty, 4 waltornie, 3 trombone, 3 puzony, trąba, 3 perkusyje i 1 harfa; będzie też organista do rozporządzenia. Dyrektorem Filharmonii zostaje p. Emil Młynarski; pomoc w urzędzeniu przyrzekł dać znakomity dyrektor lipski p. Artur Nikisch.

W sezonie Fisharmonja da dwanaście koncertów symfonicznych abonamentowych, z udziałem pierwszorzędnych solistów, pod dyrekcją kapelmistrzów różnych narodowości; dwa razy tygodniowo odbywać się mają koncerty popularne, promenadowe, po cenach bardzo niskich. Te koncerty popularne zostały zwolnione od opłaty na rzecz teatrów warszawskich i kasy miejskiej.

Stoimy więc wobec instytucji, która ma zakreślony plan działania obszerny i na wielką skalę; oczekujemy teraz urzeczywistnienia tych pięknych i pociągających zapowiedzi.

Chwila bieżąca wypełnia się w gmachu po cyrkowym przedstawianiami Teatru Lwowskiego, który sobie zjednał sympatję szczerą i nie małe wśród nas powodzenie. Teatr ten, który we Lwowie ma swoją siedzibę w budynku hr. Skarbka, zawdzięcza swój ostateczny rozwój dzielnemu dyrektorowi swemu, p. Ludwikowi Hellerowi, który z pewnością zwycięży współzawodników i obejmie ster nowego teatru w stolicy Galicji. Energia tryska z tej ognistej twarzy. Do czego się weźmie, to skutecznie. Nigdy go nie opuszcza zapał, nigdy nie widać w jego oczach omdlenia. Przed żelazną wolą p. Hellera ustępuje wszystko, i najwątliwsze powodzenie udaje się świetnie. Słowem,—pali się wszystko pod jego ręką.

Co to trzeba za pracy i wytrwania, żeby wprowadzić repertuar w Warszawie! Trzeba połączyć lekkość operetki z powagą opery. Personel teatru lwowskiego jest wprawdzie przyzwyczajony do tego przerzucania się koniecznego, takie są bowiem warunki sceny we Lwowie, skuteczniejsza się to jednak zawsze z wysiłkiem i wymaga ogromnej sprężystości dyrekcji, która dbać musi o wszystkie szczegóły; nie było wypadku, żeby p. Heller kiedykolwiek nie dokonał przedsięwziętego zamiaru. Repertuar teatru jest też urozmaicony, wystawa odznacza się zawsze starannością, a wykonanie sprawia rzetelną satysfakcję artystyczną.

Kapelmistrz p. Henryk Jarecki i jego pomocnik prof. Słomkowski, karną drużyną prowadzą niepospolicie; pracują dużo, lecz wychodzą z każdego zadania z najpomyślniejszym rezultatem.

Środki teatru lwowskiego są wypróbowane i pewne, można na nie zawsze rachować, nigdy nie doznając zawodu. Musiałbym po kolei określać każdą siłę artystyczną personelu, gdybym chciał te indywidualności najrozmaitsze scharakteryzować.

Wystarczą dwa przykłady.

Czy może być bardziej użyteczna i podatna do takiego repertuaru siła, jak pani Kasprowiczowa? Czy można zręcznie i lepiej przerzucić się z dzisiejszej rólki w „Wielkim dyplomacie“

Heubergera do jutrzejszejszej Elżbiety z „Tannhäusera“? P. Kasprowiczowa wprost zadziwia obszarem swego niepospolitego talentu, który błyszczący i wyróżnia się w najrozmaitszych operach.

A p. Bohussówna? Czyż ta młoda, wysoce utalentowana artystka, nie zadziwia, kiedy wczoraj śpiewała Jasia Humperdincka, dziś „Noc w Wenecji“, a jutro Elżę w „Lohengrinie“, albo Wenus w „Tannhäuserze“!

Chcąc mieć taki repertuar, jaki wskazują afisze teatru lwowskiego, trzeba mieć takie siły w personelu, trzeba mieć tak wyćwiczone chóry, orkiestrę—wszystko...

A kiedy się już to wszystko ma, wówczas można zaprosić na gościnne występy p. Bandrowskiego i spragnionym melomanom naszym dać cykl przedstawień Wagnerowskich — i zapełnić salę rozentuzjasmowanym tłumem.

P. Bandrowski, pierwszy tenor opery we Frankfurcie nad Menem, jest artystą szerokiej miary. Posiada głos bohaterski o rozległej skali, o brzmieniu męskim i potężnym. Wyrobiony zarówno pod względem wokalnym, jak aktorskim, artysta ten panuje nad partją i tworzy świetną zawsze kreację sceniczną. Jego „Lohengrin“ miał dzielnego rycerza w sobie, a „Tannhäuser“ poezję i polot. Specjalną relację z występów p. Bandrowskiego w teatrze lwowskim zastrzegamy sobie do przyszłego Ruchu. Tu zapisujemy tylko wielkie tego śpiewaka w Warszawie powodzenie.

A. Dobrowolski.

## Słoność wody morskiej i jeziora słone.

Dla objaśnienia słodko-gorzkiego smaku wody morskiej, dawniejsi uczeni rozmaite stawiali hipotezy, które dziś zdają się wprost naiwnymi. Jeszcze w 1837 r. w jednym z najpoważniejszych pism naukowych „Dictionnaire d'Histoire naturelle“ czytamy:

„Wielu geologów słoność wody morskiej przypisuje w części nieprzebranym pokładom soli, znajdującym się na dnie oceanów, w części zaś soli zawartej w ziemi, którą to sól wody, uchodzące do mórz, po drodze swej rozpuszczają. Niektórzy geolodzy zbijają to drugie przypuszczenie, dowodząc, że wszystkie rzeki zawierają w swych wodach bardzo nieznaczną domieszkę soli i że wszystkie znane kopalnie soli nie wystarczyłyby do zasilenia wody morskiej w tym stopniu, w jakim ona jest zasiloną. Inni jeszcze twierdzą, że słoność wody morskiej jest wytworem „płynu pierwotnego,“ równie dawnego, jak tworzenie się globu.“

Atoli słoność wody morskiej da się wytłomaczyć w sposób nader prosty. Woda jest w naturze czynnikiem rozpuszczającym i nie ma prawie ciała, któreby bądź to samo, bądź w połączeniu z ciałem innym, nie było w wodzie rozpuszczalnem.

W okresie tellurycznym, zanim planeta nasza ochładzać się stopniowo poczęła, i wody rozlane na całej powierzchni, mogły się zgęszczać, przy nieustającym przypływie wód deszczowych, wszelkie substancje rozpuszczalne, napotykanne przez owe wody, zostały przez nie rozpuszczone i zabrane do olbrzymich basenów, które potworzyły morza i oceany. Rozpuszczanie postępowało tem łatwiej i tem szybciej, że w owym okresie wody miały nierównie wyższą temperaturę, aniżeli obecnie.

Parowanie zabiera jedynie wodę czystą, rozpuszczone substancje nie ulatniają się z nią razem.

Według Réclus'a, rozmaite pierwiastki, które dotychczas chemia zdołała odkryć w wodzie morskiej, dosięgają liczby 28. Oprócz dwóch głównych, podstawowych pierwiastków każdej

wody, wodorodu i kwasorodu, woda morska zawiera: chlor, azot, węgiel, brom, jod, fluor, siarkę, fosfor, sodium, potassium, bor, aluminium, magnez, miedź, calcium i baryt. Rozmaite morskoczyzny, które tak obficie morze na brzeg wyrzuca, zawierają też w swym składzie wiele wyższej przytoczonych pierwiastków, prócz tych niereakcyjne i metale. W jednych morskoczyznach rozbiór chemiczny wykazał miedź, ołów, w innych kobalt, nikiel, mangan.

Żelazo otrzymuje się wprost przez rozbiór wody morskiej. Wreszcie, niektóre zwierzkorzewy zawierają w sobie srebro. Forchhammer otrzymał z jednej gałązki koralu 3-milionową srebra, zmieszanego z sześć razy większą ilością ołowiu. Drobną ilość srebra osadza się na zewnętrznym spodzie okrętów, w skutek prądu magnetycznego, jaki wywołany zostaje między miedzianem obiciem a otaczającą je wodą morską. W kotłach statków parowych, alimentowanych wodą morską, osadza się arsenik.

Większość wyżej wspomnianych substancji znajduje się w wodzie morskiej w ilościach niezmiernie małych i chemia dochodzi do otrzymania tychże tylko przy pomocy bardzo skomplikowanych środków. Mniej więcej ilość owych substancji została przez Forchhammera określona: 34,40 na 1000.

Gorycz wody morskiej należy przypisać solom o zasadzie magnezji. Gorycz ta głównie uczuwać się daje na powierzchni, mniejsza zaś w miarę zagłębiania, a już w głębokości 150 metrów, woda morska jest tylko słona.

Paleontologia dowodzi, że słoność wody oceanu istnieć musiała od najdawniejszych wieków, ponieważ odnajdywane organizmy kopalne, są to organizmy morskie, które mogły żyć jedynie w słonej wodzie. Morzom więc przypisać należy nagromadzenie pokładów soli krystalicznej, znajdujących się we wnętrzu ziemi. Potężne masy gór Harzu, dawniejszej wyspy oceanu, otaczane są gruntami, przesyconymi solą. Są to najobfitsze zapewne kopalnie soli, jakie się na kuli ziemskiej znajdują, a są one pozostałością po wyschniętym oceanie. W Spenberg, wiosce położonej niedaleko Jüterbogk, znaleziono sól na 89 metrów pod powierzchnią ziemi i od tego miejsca przesondowawszy grubość 1272 metrów nie natrafiono jeszcze na ostatnią warstwę pokładu, czyli że pokład sprawdzony przenosi o wiele kilometr. Wody, które pozostawiły po sobie tak olbrzymie pokłady, musiały być niesłychanie nasycone solą.

Procent soli, zawartej w wodzie morskiej, zależnym jest od szerokości geograficznej i od basenu. Słoność zmniejsza się, postępując od równika do bieguna. Tłomaczy się to silniejszym parowaniem w strefach tropikalnych, co spowodowuje znaczniejsze zgęszczenie się soli.

Wody półkuli północnej są bardziej słone, aniżeli wody półkuli południowej, a to znów na skutek znacznie mniejszej ich objętości w stosunku do ładu stałego.

Słoność także zmniejsza się w miarę oddalania się od środka morza ku brzegom, przy których dopływy wody słodkiej rozcieńczają wodę morską. Jeżeli ilość wody słodkiej z dopływów przeważa ilość wody, wyparowanej z morza, — wtedy następuje zmniejszenie się przeciętnej słoności, — przeciwnie zaś, w basenach mórz, gdzie parowanie przeważa dopływ, słoność się zwiększa.

Można tu przytoczyć dwa uderzające przykłady owych zjawisk.

Morze Czerwone nie jest zasilane żadnym stałym dopływem, a parowanie na niem odbywa się z taką siłą, że każdy, kto się tam raz na brzegu znalazł, zapamięta dobrze tę istną duszącą łaźnię. Morze Czerwone przedstawia najwyższy stopień słoności pomiędzy wszystkimi morskimi wodami. Stosunek stały soli w osadzie oznaczony jest na 43 tysięczne.

Morze Bałtyckie przeciwnie, niezbyt głębokie, otrzymuje tak obfity dopływ wody słodkiej, że słoność jego odpowiada zaledwie 5-ciu tysięcznym. W niektórych zatokach woda morza Bałtyckiego jest prawie słodką.

Dane te wskazują warunki istotne stopnia słoności wody w morzach. Zresztą, spotykamy w naturze toż samo zjawisko na mniejszą skalę, w basenach zamkniętych, w których potworzyły się jeziora słone.

Jeziora, znajdujące się przy źródłach lub na drodze wód biejących, t. j. jeziora stale odświeżane przez odpływy i przypływy, mogą być uważane za proste rozlanie wód rzecznych, spowodowane warunkami topograficznymi danej miejscowości. Charakterystyki owych jezior nie stanowi rozciągłość ich i głębokość, lecz stanowi ją skład chemiczny zawartej w nich wody, odpowiadający w zupełności składowi chemicznemu rzek, które do nich uchodzą i z nich wypływają.

Rzecz jest zgoła inną z jeziorami, nie mającymi żadnego ani widocznego, ani ukrytego ujścia, a których wody odświeżają się jedynie przez deszcze z parowania. Są to prawdziwe morza wewnętrzne, w których też same przyczyny wywołują wpływ na skład chemiczny wody, jakie wywołują wpływ na skład wody morskiej.

Czy jeziora pierwsze nazwiemy jeziorami rzeczniemi, otwartymi lub słodkimi, — drugie zaś morskimi, zamkniętymi albo li słonymi, zawsze te ostatnie uważać musimy za zjawisko na naszym globie zupełnie pokrewne temu, jakim są morza i oceany. Słoność wody w takich jeziorach też same wytworzyły warunki.

Napotykały w nich też same zmiany i stopnie, jakie napotykały w basenach oceanów. Woda, na przykład w morzu Kaspijskim, przy ujściu rzeki Terek, Uralu i Wołgi tak jest rozcieńczona, że smak jej nie różni się prawie od smaku wody rzecznej; natomiast w zatoce Karason słoność wody przewyższa nawet słoność wody morza Czerwonego, uznanego, jak wspominaliśmy, za najślonsze z mórz. Stopień słoności w zatoce Karason dochodzi do 57-iu tysięcznych — podczas gdy słoność morza Czerwonego oznaczyliśmy na 43.

W jeziorach mniej rozległych słoność bywa zazwyczaj silniejszą, aniżeli w wielkich. Do najślonszych należą: morze Martwe i jezioro Słone w Ameryce północnej. Woda w tych jeziorach jest tak przesycona solą, że gęstość jej pozwala człowiekowi utrzymać się bez pływania na jej powierzchni.

Jezioro Słone, jakby dla wykazania różnicy, jaka istnieje pomiędzy jeziorem zamkniętym a jeziorem o rzecznych dopływach, znajduje się w blizkiem sąsiedztwie z jeziorem Utah, które jest typem jeziora słodkiego. Wody w jeziorze Utah o składzie chemicznym zwykłych wód słodkich, roją się od pstrągów. Jezioro Słone wodami swemi żywi tylko niewielką ilość ryb morskich, przy swej stuwierstowej długości nie ma ono ani jednego dopływu. Jezioro Utah, długie wiorst trzydzieści, jest właściwie rozlaniem wód rzecznych, i wciąż odświeżane słod-

kiemi dopływami nie może zawierać wody słonej.

Takiż sam przykład spotykamy w Palestynie, gdzie znajduje się jezioro morze Martwe, w niewielkiej zaś od niego odległości jezioro Tiberiad, zasilane wodami Jordanu.

Jeśliśmy zrobili przegląd wszystkich jezior słonych i słodkich na ziemi, przekonalibyśmy się, że zjawisko o którym mówiliśmy jest jakby prawem ogólnem, stwierdzonem charakterystyką jezior.

Istnieją wprawdzie niekiedy jeziora zamknięte, których wody są zaledwie słonawe, albo nawet słodkie, lecz wyjątek ten powstał jedynie przez warunki miejscowe, które zbadać nie trudno.

Takie wyjątkowe jeziora spotkać np. możemy w strefach wulkanicznych. Ziemię wypłukane przez owe jeziora, z powodu obecności wulkanów, ubogie były w rozmaite substancje, przez wodę rozpuszczane. Wiele z owych jezior zasilanych jest jedynie wodami deszczowymi, czyli wodami przedestyłowanymi, które zawierają w sobie bardzo mało substancji słonych, lub kwasów zebranych z atmosfery. Jeziora podobne czasami występują z brzegów, jak np. jezioro Pavin, położone na wierzchołku Mont-Dore. Wody jeziora tego wpływają do źródła Couse a następnie do Allier. Wylew ten, chociaż przerywany, przeszkadza nasyceniu solą wód jeziora i tłomaczy dlaczego jezioro Pavin, zamknięte pomiędzy wulkanicznymi skałami, zawiera tylko 77 miligramów osadu w litrze.

Streszczając zasadę, na jakiej wody bądź to oceanu, bądź jezior zamkniętych, czyli mórz wewnętrznych, nasycały się solami, dochodzimy do wniosku, że jedyną przyczyną saturacji jest rozpuszczalność napotykaną przez wody substancji.

Jestto zjawisko powszechne, ogólne, które tłomaczy wiele obserwowanych faktów.

Z. S.

Wyszła z druku książka:

## ORCHIDEE

ZBIÓR NOWEL

przez

Marcellego Strzemińczyka

Cena egzemplarza kop. 90, pocztą rub. 1.

Skład główny w Księgarni

GEBETHERA i WOLFFA

Krakowskie-Przedmieście,

róg ulicy Czystej;—do nabycia w Administracji „Bluszczu“ i we wszystkich Księgarniach.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 1.

**Treść:** Wrażenie z nocy letniej, przez Mieczysława Glińskiego. — Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Z piśmiennictwa, przez J. Nitowskiego. — Niedola. Obrazek (dokończenie). — Listy Marty do Maryi przyczynek do kwestyi kobiecej podług Pawła Heysego, skreśliła S. W. (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego. — Słoność wody morskiej i jeziora słone, przez Z. S.

**Dodatek obejmuje:** *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 1. — Przegląd mód. 28 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiada.



## Ubranie letnie, przybrane haftem.

Rycina Nr 1.

Nadzwyczaj strojnie i efektownie wygląda haft, wyszyty kolorowemi jedwabiami do prania, na pięknym, białym batystcie, który też może być zastąpiony piką. Haft ciągnie się powyżej okrągło krajanej, z tyłu znacznie wyższej, aniżeli z przodu falbany, na bokach zaś i na przodzie schodząc nisko na falbanę, tworzy gustowny deseń. Odpowiedni deseń pokrywa przód i plecy bluzkowego stanika, jak również i małe epolety, skrajane odrazu od ramion. Wycięcie stanika przy szyi wypełnia szmizetka z plisowanego batystu, pokryta wraz ze stojącym kołnierzykiem, nikłym haftem w kolorze odpowiednim do haftu sukni. Kołnierzyk z obu stron wykończy wypustka z czarnego aksamitu. Takież aksamit użyty jest na wążki pasek. Przybranie fantazyjnego kapelusza z białej słomy stanowią: biały tiul, pęk okwitłych jaskrów i ponsowa, duża georginia. Pod rondem przypięte są rozety z białego tiulu i czarnej aksamitki.

## Peleryna do pół-żałoby i peleryna do ciężkiej żałoby.

Rycina Nr 2 i 3. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XI, fig. 84—92).

Bardzo stosowną do pół-żałobnego ubrania jest peleryna (ryc. Nr 2), wykonana z popielatego sukna, wykończona na jedwabnej, czarnej podszewce. Peleryna, wycięta w okrągłe zęby, naszyta jest w ten sposób czarnym, jedwabnym, gipiurowym szlakiem, że każdy z zębów stanowi jakby osobną część. Przybrania dopełniają: przy przodach i wokoło peleryny plisowana falbanka z podwójnie złożonego „crépe chiffon,” tymże materiałem, zmarszczonym w bufki, wyszyty, wysoki, odstający kołnier i również z „crépe chiffon,” wykonana sutą kokarda, w kształcie żaboty, przy spięciu kołnierza.

Rycina Nr 3, przedstawia pelerynę do ciężkiej żałoby. Wycięta w płytkie zęby, zakończona jest falbaną, pokrytą małemi falbankami z krepki angielskiej. Ponad falbaną naszyte są 8 razy wążki, krepowe riuszki, takież naszyte naśladowuje duży kołnier. Szyję obejmuje wysoki, stojący kołnier, cały naszyty riuszkami, od tego drugi, mały „Medicis,” od wewnątrz wyszyty jest drobnymi falbaneczkami z krepki.

## Trykotowe staniki.

Rycina Nr 4 i 5.

Rycina Nr 4, przedstawia stanik z kamizelkowym przodem, zapiętym na rząd szmuklerskich guzików i ściętym u dołu w dwa ostre zęby. Przody stanika wycięte w okrągłe zęby i zachodzące na kamizelkę, dół wokoło, stojący kołnier i rękawy przy rękę, przybrane są pasmanterją.

Rycina Nr 5, także z kamizelką, zapiętą na rząd guzików, przód i plecy, wykończone ma w rodzaju klinów, ciągnących się od ramion i zwiężających do stanu. Kliny te, ułożone są w drobne, stebnowane zakładki. Odpowiednie kliny tworzą epolety na rękawach. Jedynym przybraniem tego stanika jest stebnowka, ciągnąca się wzdłuż wszystkich brzegów. Kołnierzyk stojący, wycięty po bokach w wysokie zęby, także jest ostebnowany.

## Ubranie wizytowe, przybrane aplikacją.

Rycina Nr 7 (patrz szkic a.). (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 52—58).

Ubranie z zielonej, gładkiej popeliny, składa się ze spódnicy, zachodzącej skośnie jedną stroną przodu, podłożonej wokoło szeroką wypustką z białego sukna i z otwartego z przodu staniczka, również sukieną wypustką wykończonego. Na skośnym przodzie spódnicy rzuconą jest aplikacja z białego sukna, naśladowująca dużą gałąź lilii. Odpowiednia aplikacja pokrywa przody stanika i rękawy. Stanik otwiera się na kamizelce z białego sukna, skośnie zapiętej na drobne, złożone guziczki. Kamizelkę w stanie obcisła wążki pasek z materiału sukni. Podłużne wycięcie kamizelki u szyi wypełnia szmizetka z pięknej gipiury, podłożonej atłasem odrębnego od sukni koloru. Wycięcie przy szyi na plecach bardzo jest nieznaczne (patrz szkic a.)

## Koszula dzienna, majtki i koszula nocna, dla osoby dobrej tuszy.

Rycina Nr 11—13. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 93—103)

Wskazane tu trzy sztuki bielizny, odznaczają się bardzo łatwym i praktycznym fasonem. Wykonane z cienkiego płótna i przybrane ręcznie

dzierganemi ząbkami, opatrzone przytem pięknym monogramem, wyglądają elegancko, choć skromnie. Dla osoby zaś dobrej tuszy przez brak falban i bufek nader są stosowne.

## Wycięta sukienka dla dziewczynki od 6—7 lat.

Rycina Nr 17. (Krój pierwsza strona tablicy Nr V, fig. 32—37).

Luźna, puszczone sukienka z różowego, jedwabnego materiału do prania, ułożona w szerokie fałdy, przyszyta jest do gładkiego, okrągło wyciętego karczka, do którego przyszyty jest od spodu, również luźno spływająca druga sukienka z podszewki. Na podszewkę użyć najlepiej cienką, białą satynkę. Karczek przykryta jest gładkim, z przodu i z tyłu w ząb wyciętym kołnierzykiem, oszitym wążką koroneczką. Z pod tej koroneczki wypływa wokoło karczka 10 centim. szeroka falbana z materiału sukienki, do połowy drobno uplisowana i oszyta 5 cent. szeroką koronką. Na falbanę tę potrzeba najmniej 2 metry 20 ctm. Dół spódniczki zakończony szerokim obrębem, przybiera kilka zakładek. Sukienka zapina się z tyłu na ukryte haftki.

## Koronka wywodzona na tiulu, stosowna do przybrania halek, bluzek i t. p.

Rycina Nr 23.

Przy pomocy dwóch grubości nici, używanych do wyrobu koronek, można wykonać bardzo łatwo nader efektowną koronkę na tiulu. Deseń podług zamieszczonego tu rysunku przenieść należy bardzo wyraźnie i ostro na sztywny papier, lub białą cęratkę. Do tej przyfastrygowywa się cienki tiul do prania i podług odrysowanego deseni wywodzi się na nim figury deseni, najpierw niemi grubszymi, którymi obwodzi się kontury, a następnie zapełnia się figury ścięciem, używanym przy bretońskich koronkach. Brzeg koronki zakończają pikoty.

## Serweta na stół do herbaty, ozdobiona haftem.

Rycina Nr 24 i 25.

Modne obecnie serwety z gładkiego płótna, zarzucone ręcznym haftem, ładną i wdzięczną przedstawiają robotę. Wskazana przez nas serweta, mająca 1 metr, 60 centim. w kwadrat, zakończona szerokim obrębem i mareszką, pokryta jest girlandami pnących się kwiatów. Lekki deseń, wykonany jest lśniącą bawełną lub jedwabiami do prania, ścięciem atłaskowym, płaskim i mijanym. Haft wykonywa się w dowolnych kolorach, gałązki i liście powinny być trzymane w tonie zielonym w kilku odcieniach.

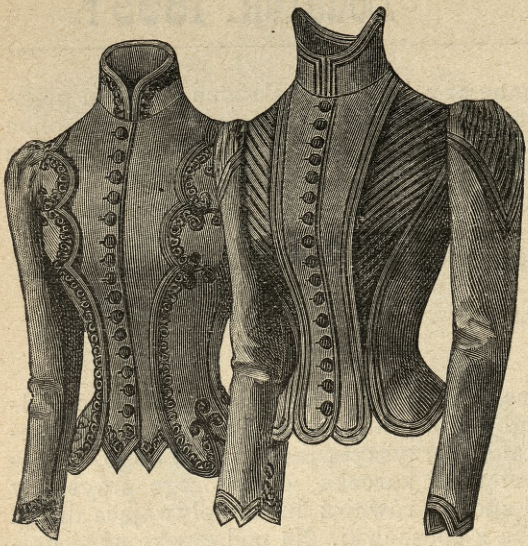
## Koronka z tasiemeczki w ząbki, wykonana szydełkową robotą, stosowna do fartuszków i bielizny.

Rycina Nr 26.

Bardzo łatwą i wyborną do prania obszewkę do bielizny i dziecinnych fartuszków wykonać można z tasiemeczki w ząbki, łącząc te przy pomocy szydełka, podług wskazanego deseni. Ząbki obwodzi się z jednej strony łańcuszkiem i spaja, chwytając jeden ząbek z drugim. Drugą stroną pozostawia się nieobwiedzioną i spaja się je ścięciem łańcuszkowym, rozsuwając je znacznie szerzej. Ząbki,



Nr 1. Ubranie, przybrane haftem.



Nr 4 i 5. Trykotowe staniki.

stanowiące brzeg obszewki zakończą się pikotami, w górze zaś zakończą się obszewką rzędem słupków. Obszewka, jak to z desenu łatwo widać, może być wykonana w różnej, dowolnej szerokości.

**Bluzka z taffetas, przybrana krzyżkowym ściegiem, oraz kapelusz przybrany gazą.**

Rycina Nr 27.

Bardzo strojnie wygląda bluzka

z jedwabnego taffetas, w kolorze heliotrop, przybrana białą, jedwabną pasmanterią, drobno plisowanymi falbankami z jedwabnej, białej gazy i krzyżkowym ściegiem, wyszytym białym kordonkiem. Przody bluzki, przyszyte są do wąskiej kamizelki z białej materii, zapiętej na drobne guziczki. Kamizelkę prawie w zupełności pokrywają drobno plisowane falbanki z jedwabnego muślinu, przyszyte do obu przodów bluzki. Falbanki te wysuwają się z pod białej pasmanterii. Cała bluzka, tak z przodu, jak i na plecach, naszyta jest poprzecznie w nieco skośnym kierunku krzyżkowym ściegiem. Szyję obejmuje



Nr 6. Paltocik letni.

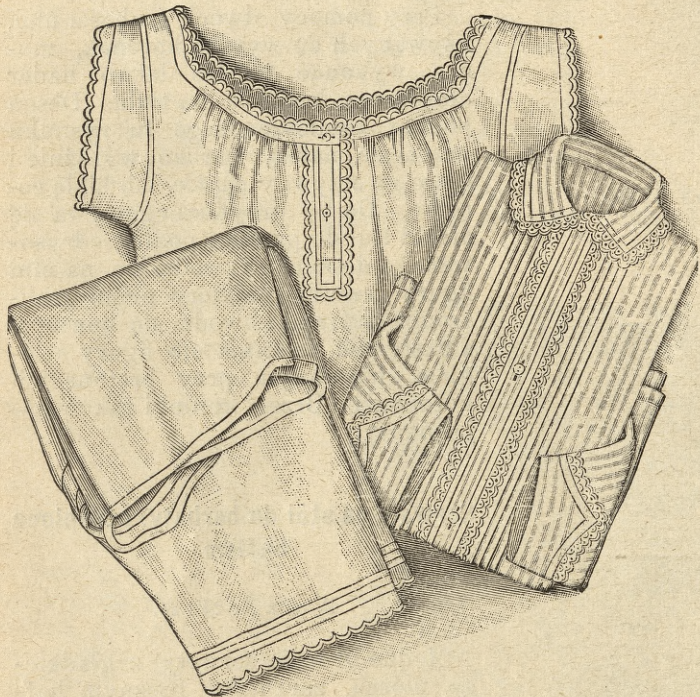
(Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 15-23).  
Opis w Bl. Nr 31.

biały, plisowany, jedwabny muślin. Rękawy przybrane są odpowiednio do całości.

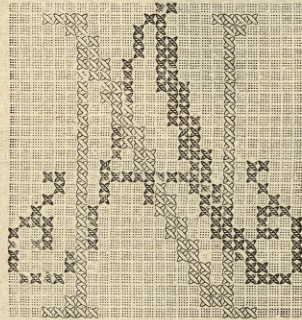
Kapelusz z palonej, angielskiej słomy, przybrany jest jedwabną gazą w dwóch kolorach. Główkę opasuje gazą w kolorze brązowym, a od tyłu przypięte są dwie rozety z gazy crème. Pod rondkiem są umieszczone rozety: biała i brązowa.



Nr 2 i 3. Peleryny modne  
Krój odwrotna strona tablicy Nr XI,  
fig. 81-92).



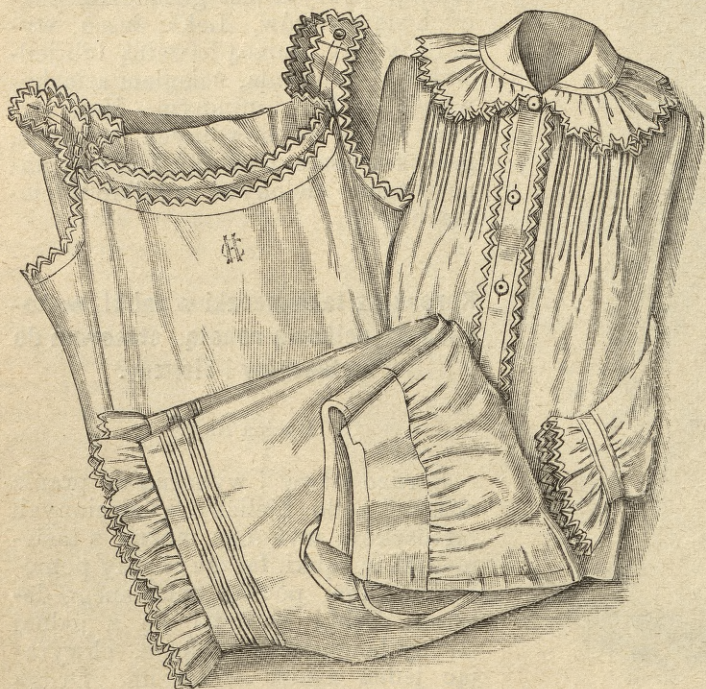
Nr 8-10. Koszula, majtki i kaftanik nocny, dla starszej osoby.  
(Krój i desen' ząbków pierwsza strona tablicy Nr VI,  
fig. 38-45).



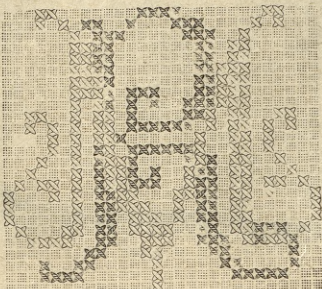
A. N.



Nr 7a. Szkic do ryciny Nr 7.



Nr 11-13. Koszula dzienna i nocna, oraz majtki, dla osoby dobrej tuszy. (Krój i desen' ząbków odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 93-103).



M. B.



Nr 7. Ubranie wizytowe, przybrane aplikacją (patrz szkic a.).  
Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 52-58.

**Suknia z jedwabnej grenadyny, oraz kapelusz z fantazyjnej słomy.**

Rycina Nr 28 i 23.

Ubranie z jedwabnej, lila grenadyny, składa się z gładkiej spódnicy na przednim brycie, z lewej strony, ułożonym w zakładki, oraz z bluzkowego stanika, przybranego koronką (patrz ryc. Nr 23). Stanik z przodu ułożony